Nr. 206. Lwów Sobota dnia 6 Września. Rok 1902.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Ogłoszenia i przedpłatę miejscową przyjmuje wyłącznie: Ajencya ... Pasaż ... Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenie ... wiersz petitowy albo jego miejsce ... W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo ... tłustym garmondem ... koresp. prywatne ... Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce ... Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k. Ogłoszenia na ... stronicy wiersz petitowy ...

Dziś: św. Zacharyasza | Eutychiusza M. — Jutro: E. 16 po Ś. A. Str. | Bartł. i Tytusa

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca o g. 5 m. 31 — Zachód „ „ 6 m. 25

Długość dnia godzin 12 minut 55 — Ubyło dnia od wczoraj 4 min.

Sposób na strejki przemysłowe w Anglii.

W Londynie rozpoczął w tym tygodniu swe doroczne obrady 37my kongres angielskich organizacyi robotniczych, tak zwanych Trade-Unions. Kongresy te zasługują w całej pełni na miano parlamentu robotniczego, na nich to bowiem omawiali i załatwiali robotnicy angielscy dotychczas wszystkie sprawy, odnoszące się do ich położenia materyalnego i stosunku ich do pracodawców, a w politycznych walkach nie brali prawie żadnego udziału, a zwłaszcza od agitacyi wyborczej trzymali się zdaleka i nie starali się nawet o to, aby wprowadzić własnych posłów do parlamentu i utworzyć tam własne stronnictwo. Tegoroczny kongres robotniczy zbiera się wśród szczególnie ważnych okoliczności i może być punktem zwrotnym w dalszej działalności trade-unionów, stosunek bowiem jaki istniał do tej pory między społeczeństwem angielskiem a temi organizacyami robotniczemi uległ ostatnimi czasy gruntownej zmianie na niekorzyść tych organizacyi.

Przez lat z górą trzydzieści otaczało społeczeństwo angielskie i parlament organizacye te jak największą sympatyą, to też dzięki temu poparciu całego społeczeństwa, urosły one w potęgę i znaczenie. Każda uchwała parlamentu nacechowana była życzliwością dla nich, wzmacniała ich stanowisko prawne i rozszerzała ich zakres działania, przy wszystkich robotach publicznych wkładano na przedsiębiorców obowiązek zatrudniania tylko takich robotników, którzy należą do trade-unionów, a przy każdej okazyi traktowano delegatów tych związków jako czynnik zupełnie równy z pracodawcami. Dzięki tej życzliwości całego społeczeństwa zebrały angielskie trade-uniony kolosalne majątki, zapewniające ich członkom dostatnią pomoc na starość i w razie choroby, a liczba ich członków wynosi z górą 2 miliony i nie ma już prawie w Anglii stałych robotników, którzyby nie należeli do jakiegoś trade-unionu. Podniosły one znacznie normę płac robotniczych, skróciły czas pracy i nikt im tego za złe nie brał, bo nigdy, aż do ostatnich lat, nie propagowały one wywrotowych teoryi socyalistycznych. To było także powodem, że pracodawcy angielscy nie wahali się wchodzić ze związkami robotniczemi w pewnego rodzaju spółkę i tworzyć nowe organizacye kartelowe, tak zwane aliansy, w których i pracodawcy i robotnicy uczestniczyli w zyskach.

Od kilku lat jednak popsuła się ta harmonia między pracodawcami a robotnikami, a sympatye, jakiemi otaczało społeczeństwo związki robotnicze w Anglii, ostygły. Doktryny bowiem socyalistyczne zaczęły się coraz bardziej wkradać do tych związków i zwichnęły ich dawny kierunek. Zamiast, jak przedtem, starać się o podniesienie moralnego poziomu robotnika, a przy tem pracować także w kierunku podniesienia produkcyjności tej lub owej gałęzi przemysłu, jęły trade-uniony wprowadzać pewien pierwiastek złośliwości do stosunku między robotnikiem a pracodawcą i w wielu wypadkach działać wprost na szkodę pracodawców. Między innemi wprowadziły one nowy system opieszałego wykonywania pracy, znany w Anglii pod nazwą systemu Ca'canny. Nazwa ta jest pochodzenia szkockiego. Jeżeli bowiem dwaj Szkoci idą obok siebie, a jeden z nich idzie prędko, drugi zaś nie może mu nadążyć, albo też nie chce forsować się, wówczas powstrzymuje on rączego towarzysza słowy: „ca'canny, mon, ca canny“ (pomału, człowiecze, pomału). Otóż wedle tego systemu, mają w myśl rzuconego przez trade-uniony hasła, pracować robotnicy angielscy: powoli, tak, aby nawet najtęższy robotnik nie zrobił więcej, niż jego najlichszy towarzysz.

Na uzasadnienie tego bądź co bądź zdrożnego systemu zmuszania ludzi do opieszałości w pracy, powołują się trade-uniony na to, że tylko tym sposobem zdoła się zapobiedz brakowi zajęcia, skoro bowiem robotnicy będą mniej wydatnie pracowali, przeto oczywiście potrzeba zatrudniać ich znacznie więcej. Nad przestrzeganiem tego systemu we wszystkich przedsiębiorstwach przemysłowych czuwają trade-uniony surowo i robotników pilnych, pracujących po nad ustanowioną przez nie normę, karzą dotkliwie grzywnami, a nawet wykluczeniem ze związku, przez co pozbawiają ich prawa korzystania z humanitarnych urządzeń tych związków i z przysługującego im zaopatrzenia. Skutkiem tego systemu niektóre gałęzie przemysłu w Anglii zostały wprost zrujnowane i wydane całkiem na łup konkurencyi niemieckiej i amerykańskiej. Jeden tylko przykład wystarczy. by pojąć, jakie szkody przynosi ten system. Oto przed laty dwudziestu murarz angielski, zajęty przy wznoszeniu murów, układał przeciętnie 1000 cegieł dziennie, dziś zaś za panowania systemu ca'canny układa tylko 330, a przy budowie szkół w Londynie, przeprowadzanej w porozumieniu przedsiębiorców z trade-unionami, ustanowiono dzienne pensum dla murarza tylko na 200 cegieł. Niemniej szkodliwą działalność zaczęły rozwijać trade-uniony ostatnimi laty przez coraz częstsze urządzanie strejków, przeważnie niesprawiedliwych i wprost złośliwych.

Oto powody, dla których te organizacye robotnicze zaczęły tracić dawne sympatye i w społeczeństwie i w ciele prawodawczem. Zmiana ta poglądów znalazła wyraz w kilku uchwałach angielskiej izby lordów, powziętych ostatnimi czasy. Izba ta jest w Anglii, jak wiadomo, zarazem najwyższym trybunałem sądowym w wielu sprawach natury cywilnej.

Ponieważ lekkomyślne strejki zaczęły się mnożyć, przeto zagrożeni w swym bycie przedsiębiorcy jęli zwracać się z zażaleniami do izby lordów. Między innemi zwróciło się z zażaleniem Towarzystwo kolejowe „Taff Vale Railvay Company“ w sporze ze swoim personalem. Związek robotniczy, do którego należy ten personal, nakazał strejk i kierownicy związku wykonali tę uchwałę. Otóż Towarzystwo kolejowe utrzymuje, że w toku tego strejku organy owego związku dopuszczały się czynów nielegalnych i zachęcały do nich, a zatem zapozwało przed sąd o odszkodowanie nie strejkujących robotników osobiście, ale całą ich organizacyę zbiorowo. I oto izba lordów wydała zasadnicze orzeczenie tej treści, że trade-uniony mogą być pociągnięte do wynagrodzenia szkód, powstałych skutkiem czynności ich funkcyonaryuszy nawet w takim razie, jeżeli te czynności nie wykraczają przeciw kodeksowi karnemu. Orzeczenie to ma niezmiernie doniosłe znaczenie i wywołało popłoch wśród zorganizowanych w związki robotników. Trade-uniony zaczynają obawiać się o swe wielkie majątki, skoro ustanowioną została zasada, że są one materyalnie odpowiedzialne za szkody, zrządzone przez osoby, o których można przypuszczać, że działały z ramienia trade-unionu, o tem zaś decydować ma sędzia w każdym poszczególnym wypadku.

Tą ważną kwestyą zajmie się przedewszystkiem obecny kongres trade-unionów w Londynie. Przypuszczają, że rzuci on hasło, iż związki robotnicze mają obecnie dążyć do uzyskania politycznego wpływu i brać udział czynny w wyborach. Podobno rozpoczęto już nawet zbierać fundusz agitacyjny na wybory.

List do Redakcyi.

(W sprawie strejków).

Ileż to uwag, rad z różnych stron, artykułów dziennikarskich wywołały strejki podolskie! Składałem te artykuły i przy wolnej chwili, powtórnie, jedne za drugiemi odczytałem. I niech mi wolno będzie powiedzieć, że pomimo wielu zdrowych myśli, praktycznych zapatrywań, nigdzie rzeczywistego powodu zdziczenia tego ludu, ani też prawdziwie skutecznego lekarstwa na umoralnienie i podniesienie tego ludu nie znalazłem.

Nie pamiętam, od ilu lat nastała w Galicyi czy to moda, czy jakaś chorobliwa mrzonka opieki nad ludem nieproszonych obrońców, którzy w tem li tylko swój interes widzieli. Mnożyło się ich, jak grzybów po deszczu. Pisma setkami artykułów o wielkiem znaczeniu ludu zasypywały czytelników. Niektórzy więksi właściciele, kokietując z przywódzcami ludowymi, dla popularności brali na siebie ciężary rozmaite z włościan. Jakieś nienaturalne z tej chłopomanii wywiązały się stosunki.

I cóż dziwnego, że ludowcom zaczęło się zdawać, że wobec sprawy ludowej wszystko powinno iść na bok, że tylko oni panami sytuacyi; ludek zaś, obałamucony, wierzył, że wyjąwszy ich obrońców, każdy pan, dwór, to ich wróg i że wszystko, co jest na ziemi, im się należy.

Kto zna gruntownie naturę naszego włościanina, czy to Rusina, czy Mazura, wie, że choćbyś nie wiedzieć jak zajmował się tym ludem, świadczył mu nieustannie dobrodziejstwa, obcował z nim jak najwięcej: niech się zjawi agitacya przeciwko dworom, przeciw tym, co mają więcej, z dodaniem obietnicy posiadania tego, zapominają z małymi bardzo wyjątkami o doznanych dobrodziejstwach i dopuszczają się wszelkich nadużyć, wszystkiego, do czego ich źli ludzie podszczuwają.

Tak było w smutnej pamięci 46-tym roku. Dowodem tego los p. T. O. z W., który był ojcem dla swoich włościan, dla nich żył, a oto w owem W. na wieczną pamiątkę jego krwi przelanej stoją krzyże z napisem „Boże odpuść im, bo nie wiedzą co czynią“. W dzisiejszych zaś strejkach dowodem na to samo postąpienie włościan z panem A. C., z tym zagorzałym chłopomanem. Więc cóż robić, zapyta niejeden. To, co nam sumienie i obowiązek nakazują: zapomnieć, nie zrażać się, a myśleć zarazem o zabezpieczeniu się od takich w przyszłości wypadków. Lecz gdzież lekarstwo, mające radykalnie, choć zwolna, podnieść i uzdrowić ten lud?

Lekarstwo, to religia. Lekarze, to xięża.

Znam naturę włościan, dziesiątki lat, nieledwie pół wieku spędziłem wśród nich i twierdzę stanowczo, że gdzie xiądz jest prawdziwym sługą Bożym, gdzie bywają nabożeństwa solenne, nauki dobre, spowiedź nie dla zbycia, tam lud nie da się tak łatwo, albo wcale się nie da obałamucić. Patrzmy na otoczenie nasze, na służbę. Ci, którzy regularnie uczęszczają na nabożeństwa, parę razy do roku przystępują do Sakramentów św., cóż to za idealne sługi, to skarb, to nie sługa, ale przyjaciel. Tak samo i na wsi. Takie osoby odznaczają się uczciwością.

W naszych stronach ileż to wsi mieszanych, pół polskich, pół ruskich, a gdzie xięża zacni, prawdziwi słudzy Chrystusa, tam zgoda i jedność. Rusini uczęszczają do kościoła, Polacy do cerkwi przy większych uroczystościach i nigdy żadnej niezgody. Wogóle na ziemi sanockiej mamy zacnych duszpasterzy, czy to w miejscach, gdzie jest kościół i cerkiew, czy w górach, gdzie sami Rusini.

Więc gdzie inne, niestety smutne stosunki, nawołujmy xięży, przyczyniajmy się do zaprowadzenia misyj, bo one cuda działają. Uczęszczajmy do cerkwi, zanim zdołamy wznieść kaplice lub kościoły łacińskie tam, gdzie ich niema, a w parę lat kraj cały inną przybierze postać i agitatorom cios zadamy, wydzierając im ciągnione przez nich do zguby ofiary.

Więc lekarstwo jest. A lekarze? Niestety brak ich wielki! Trzeba tak powiedzieć, sądząc tylko z przebiegu strejków, a nie mówiąc o niczem więcej. Prawie bez przerwy powtarzano podczas strejków, że tu i tam, i jeszcze gdzie indziej — nie w kilku, nie w kilkunastu, ale w kilkudziesięciu miejscowościach, wiejski duszpasterz, kapłan greckiego obrządku, zachowywał się nie już dwuznacznie, ale wręcz popierał czyny bynajmniej przecież niezgodne z przykazaniami kościelnemi.

I cóż pomyśleć o położeniu kraju, jeżeli słudzy Kościoła, których obowiązkiem siać zgodę, krzewić miłość bliźniego, działają przeciwnie, zachęcają do niszczenia mienia, nieledwie do pożogi i gwałtów?

Pod takim zarzutem nie powinni pozostać ci, których nim obarczono. Zdaje mi się, że kościelna władza nie może obojętnie przejść nad tą sprawą, jako nad taką, która już przeminęła. Jeżeli są winni zaniedbania swych obowiązków kapłańskich, trzeba ich skarcić, pouczyć, bardzo winnych usunąć i tym sposobem zdjąć z ogółu duchowieństwa niemiły cień, w którem się ono znalazło. To da całemu krajowi uspokojenie, usunie nieufność, jaka niestety się wytworzyła i wzrasta, a nie daj Boże, aby się utrwaliła, albowiem do czego ona w końcu doprowadzi i co sprawi, któż się nie domyśli.

F. R.

Wilhelm II w Poznaniu.

(Telegramy „Przeglądu“).

Poznań 5 września. Wczoraj przed południem odbyło się odsłonięcie pomnika cesarza Fryderyka na placu Wilhelma. W uroczystości wzięli udział: para cesarska, następca tronu, kanclerz Buelow, ministrowie Rheinbaben, Gossler, Hammerstein, Studt, książęta niemieccy, ks. Ferdynand Radziwiłł, generalicya, najwyższe władze cywilne, duchowieństwo obu obrządków itd. Starszy burmistrz Poznania powitał cesarza, poczem wykonano jeden z utworów Beethovena. Następnie opadła zasłona. Prezes regencyi wzniósł okrzyk na cześć cesarza, powtórzony z zapałem przez publiczność. Cesarz obejrzał pomnik, a następca tronu pierwszy złożył wieniec.

Następnie udali się cesarstwo, następca tronu, kanclerz i ministrowie do gmachu sejmowego, w którym zgromadziły się stany prowincyonalne. Marszałek sejmu prowincyonalnego Willamowitz Moeller wygłosił mowę hołdowniczą. Cesarz podziękował za wyrazy patryotyzmu, które potwierdzone są przez patryotyczne przyjęcie ze strony ludności. „Znajdujemy się tu — ciągnął cesarz — w pośród wiernej niemieckiej ludności, w wiernem niemieckiem mieście. Wierną jest praca, jaką Niemcy dla podniesienia kraju tu wykonywają. Jeśli praca ta ma udać się na pożytek całości, to koniecznem jest, aby Niemcy pozbyli się swego odwiecznego błędu, waśni partyjnej, aby jednostka była gotowa poświęcić swą odrębną indywidualność na to, żeby działać wespół ze wszystkimi, tak jak ongi rycerze Zakonu niemieckiego zrzekali się osobistej swobody i wygód, a skupili się w silnym ustroju zakonnym, aby nieustanną ciężką pracą rozszerzać kulturę niemiecką.

„Powtóre, rozumie się samo przez się, że urzędnicy moi powinni bezwarunkowo według moich wskazówek, posłuszni moim rozkazom, bez wahania przeprowadzać politykę, którą uznałem za odpowiednią dla dobra tej prowincyi. Współdziałanie ludności i urzędników pod kierownictwem korony, z pewnością z biegiem lat sprowadzi pomyślny rozwój tej prowincyi. Ubolewam głęboko, że część moich poddanych, pochodzenia niemieckiego, z trudem tylko, jak się zdaje, oswaja się z naszymi stosunkami. Powodu prawdopodobnie szukać należy w dwóch mylnych zapatrywaniach. Po pierwsze podsyca się w nich obawę przed naruszeniem ich wyznania. Kto twierdzi, że moim poddanym wyznania katolickiego robi się trudności w wykonywaniu religii, lub że mają oni być zmuszeni do porzucenia swej wiary, ten popełnia wielkie kłamstwo. Cały okres mych rządów, słowa moje wypowiedziane w Akwisgranie, dowodzą, jak wysoce szanuję religię, osobisty stosunek każdego człowieka do swego Boga. Kto coś podobnego twierdzi, ten obraża taką potwarzą następcę owego wielkiego króla, który powiedział: „niech każdy zostanie błogosławionym na swój sposób“.

„Drugą mylką jest to, że podsyca się obawę, iż właściwości szczepowe i tradycye mają być sprzątnięte. To nie jest prawdą. Królestwo pruskie składa się z wielu szczepów, które są dumne ze swej dawnej historyi, ale to im nie przeszkadza przedewszystkiem być dobrymi Prusakami. Tak i tu być powinno. Tradycye i pamiątki spokojnie mogą istnieć, ale one należą do historyi, do przeszłości. Teraz ja tu znam tylko Prusaków. Pracy przodków moich winien jestem to: starać się, aby ta prowincya nierozwiązalnie była połączona z monarchią pruską, aby zawsze pozostała dobrze pruską, dobrze niemiecką. Ten kielich, napełniony sokiem z gron, które wyrosły nad brzegiem pięknego Renu, wychylam na pomyślność prowincyi poznańskiej i jej stolicy nad Wartą“.

Przy zwiedzaniu przez cesarza szpitala Sióstr miłosierdzia był także arcybiskup X. Stablewski. Następca tronu popołudniu przejechał się na rowerze, a potem zwiedził kościół Maryacki. Zrazu publiczność go nie poznała, dopiero gdy wychodził z kościoła, poznano go i powitano okrzykami. Zachowanie się ludności jest wzorowe. Z całej prowincyi napłynęło do Poznania mnóstwo Niemców, aby zobaczyć cesarza. Ulicami przechodzi jednak także wielu Polaków. Gdziekolwiek para cesarska, następca tronu i kanclerz się pokażą, wita ich publiczność owacyjnie. Pogoda prześliczna.

Wczoraj przed południem przyjął cesarz arcybiskupa Stablewskiego na audyencyi.

Co i o czem piszą.

Stosunki na Szląsku austryackim byłyby zapewne znośniejsze dla naszej tamtejszej ludności, gdyby ta prowincya nie znajdowała się pod administracyjnym wpływem namiestnictwa morawskiego. Rzecz to znana, lecz teraz bardzo dobrze przedstawia ją autor „listów“ szląskich, których kilka pojawiło się w *Czasie*. O tym wpływie Berna tak pisze autor:

Z murów gimnazyum cieszyńskiego wyjdą przeważnie przyszli urzędnicy, proboszczowie wiejscy, lekarze, notaryusze, którzy będą następnie naturalnymi przywódzcami szląskiego ludu. Jeżeli uda się przeszkodzić przenoszeniu rodowitych Szlązaków do niemieckich okolic na Morawach, możemy się doczekać nareszcie wykonywania ustawy o równouprawnieniu językowem. W tem cały kłopot, że tutejsze sądownictwo, poczta, podatkowe

---

43)

BLANKA HALICKA.

Obok szczęścia

Powieść

(Ciąg dalszy).

I łzy gorące rzuciły się z oczu biednej, umęczonej młodej kobiety, kiedy nagle uczuła na czole serdeczny, macierzyński prawie pocałunek pani Sławskiej.

— Ja ci przebaczam, biedne dziecko! Ja was obojga tylko żałować i razem z wami cierpieć mogę, boście oboje bardzo nieszczęśliwi!

I odtąd już panował między niemi stosunek niewymownie dobry i serdeczny.

Olga, podnosząc się pomału z ciężkiej choroby, czuła wciąż przy sobie pełną dobroci i wielkiej litości opiekę pani Anny, jakby matki rodzonej.

Niemniej i Terenia nie mogłaby mieć więcej względów i delikatności dla chorej siostry — lecz ona tę troskliwość i dobroć nakazać sobie musiała całą siłą woli, bo silniejszy od litości, silniejszy od współczucia dla nieszczęścia Olgi, odzywał się w duszy dziewczyny żal do tej, która zabrała jej Romana — na wieki już.

Matka mogła przebaczyć; kobieta kochająca buntowała się jeszcze, gdy trzeba było wyrzec się nawet ostatniego cienia nadziei.

A Roman? On, o wszystkiem co zaszło, zawiadomiony przez matkę, która wolała to uczynić sama, niż żeby bolesne wieści doszły go z ust obcych ludzi, zmienione i przekręcone najdziwaczniej, tam daleko, szarpał się sam z sobą w okropnej rozpaczy, póki wiedział, że jego ukochana Olga była w niebezpieczeństwie.

Szalał chęcią zemsty nad Gorwiczem i przez długie dnie i noce męczył się sam bezlitośnie dręczącymi wyrzutami sumienia, że wszystko, co się stało, całe to nieszczęście i hańba przed ludźmi, która niewinnie wskutek całego zajścia spadła na Olgę, wszystko to było z powodu jego, przez jego winę!

I cóż mógł zrobić? Czy możliwem jest zamknąć usta ludziom, zabronić, by nie rozsiewali bezpodstawnych kłamstw, stłumić potwarz wtedy, kiedy już obiegła tłumy?

I tego Gorwicza, tego znienawidzonego, najgorszego swego wroga, nie mógł zdeptać i sponiewierać, nie mógł roztrzaskać mu głowy kulą, jak byłby to chciał uczynić, bo wszelkie zajście między nimi, wszelki mściwy krok z jego strony, potwierdziłby tylko podejrzenia ludzkie i rzuciłby nowy cień na sławę Olgi, tej Olgi jego, która wolała złamać serce i sobie i jemu, niż splamić cześć swoją!

Ona, choć niewinna, uciekła od męża i to do matki tego, o którym świat mówił, że był jej kochankiem — i to wystarczyło, żeby ten świat rzucił na nią kamieniem!

A tyle innych kobiet, które nie były warte śladów stóp jej całować, kobiety, które co roku miały nowego wielbiciela i zmieniały kochanków jak rękawiczki, te żyły spokojne, pewne siebie, nie potępiano ich, chyba nieśmiało, po cichu, przyjmowano je wszędzie.

Taka Żelska, o której stosunku z Gorwiczem wiedzieli wszyscy, dziś spotkawszy Olgę, mogłaby odwrócić się od niej bez kiwnięcia głową — a ludzie uznaliby, że to naturalnem jest i słusznem!

Ta umiała występki swoje pokrywać zręcznością i pewnością siebie — koło imienia tamtej, niewinnej, zrobił się rozgłos i skandal, była więc zgubioną!

Te myśli dręczyły go najwięcej dopiero wtedy, gdy dowiedział się, że Olga wyszła już z niebezpieczeństwa. Pierwej nie był w stanie myśleć o czem innem, jak tylko o tem, że utracić ją może.

I w tych czasach tak dla niej strasznych, kiedy zwaliły się na nią choroba, niedola i oszczerstwo, on nie mógł być przy niej, nie mógł pocieszać jej, pielęgnować, nie mógł nawet bronić jej przed światem. Nawet widzieć jej nie było mu wolno; ona sama prosiła jego matkę na wszystko, żeby do Wierzbowa nie przyjeżdżał... bała się jego i własnego serca.

Byłby chciał upaść do nóg matce i ręce Tereni ucałować ze łzami za tę ich dobroć, za tę opiekę serdeczną, okazaną Oldze.

Te dwie kobiety, których myśli nawet nie zbrudził żaden pyłek nieszlachetny, dziś narażone były na złośliwość ludzką i obmowę za tę dobroć, za tę litość swoją właśnie. Ostracyzm, który dotknął Olgę, mógł się i na nie rozciągnąć. Podobno sąsiedzi omijali już Wierzbów i o mieszkankach jego mówiono z przekąsem, jako o osobach, które w swym domu „skandal“ osłaniają!

Och! ci ludzie!

W tych chwilach strasznych, Roman zaczynał nienawidzić świata całego, jak wszyscy, którzy doznali od niego krzywdy wielkiej i niezasłużonej.

. . . .

W miesiąc po przybyciu swem do Wierzbowa, kiedy wstawała już z łóżka, i choć bardzo jeszcze osłabiona i zmieniona do niepoznania, przechadzać się mogła po pokoju, zawezwała Olga panią Sławską na chwilę poufnej rozmowy, w której poprosiła ją, aby jako jedyna starsza jej krewna (wszyscy inni bowiem zresztą odsunęli się teraz od niej zupełnie) napisała do Gorwicza, który obecnie podobno był w Warszawie, i wezwała go, żeby przyjechał w celu porozumienia się z nią co do sposobu ich życia na przyszłość.

Olga nie chciała spotkać się z nim za nic w świecie.

Miał pewnego oznaczonego dnia zjechać się w Sławicach z panią Anną i przez jej usta miała mu żona oświadczyć, że rozłączyć się z nim chce stanowczo i przygotowaną jest nawet na wszelkie ustępstwa materyalne, byle to odbyło się prędko i po cichu, bez pośrednictwa władz sądowych.

Stawił się na wezwanie, bynajmniej nie zmieszany, pewny siebie, lekceważący, jak zwykle.

Ton jego i obejście tak oburzyły panią Sławską, że zaraz po pierwszych słowach rozmowy z nim miała ochotę kazać zaprzęgać i powrócić do Wierzbowa.

Zapanowała jednak nad sobą i spokojnie, nie bez pewnej wyniosłości oświadczyła mu w imieniu Olgi, że po tem, co zaszło między nimi, on sam chyba dobrze zrozumieć musi, że dalsze życie wspólne stało się niemożliwem.

Gorwicz, usłyszawszy to, milczał chwilę, patrząc przed siebie, zamyślony. Miał w oczach coś drapieżnego i fałszywego, jak zły kot.

Wreszcie podniósł głowę i odezwał się, cedząc słowa powoli, jakby od niechcenia, że on ze swej strony pragnąłby tylko zgody i gotów byłby nawet darować żonie wszystko, byleby wrócić do niego i uniknąć skandalu chciała.

Ten wyraz „skandal“, zasyczał mu z pomiędzy warg, jak świst węża.

Pani Sławska dumnie podniosła głowę.

— Nie przyjechałam tu po to, żeby przepraszać pana w imieniu jego żony, lecz, żeby, jako starsza jej krewna, ułożyć się o warunki rozłączenia. Proszę więc żądania swoje wypowiedzieć krótko i zwięźle, bo ja też jak najprędzej chciałabym wrócić do domu.

To jej zimne i śmiałe przemówienie odrazu nakazało mu milczenie.

Miał już widocznie na ustach wyrazy obelżywe i zuchwałe, lecz nie śmiał wypowiedzieć ich, tak ta siwa, poważna kobieta o mądrych oczach i szlachetnej twarzy panowała nad nim godnością i spokojem swoim.

A ona mówiła dalej:

— Olga pragnie, żeby się to wszystko dało zrobić spokojnie i bez rozgłosu. Kazała tylko zapytać, jakie warunki pieniężne pan stawia?

Jemu oczy błysnęły zawiścią.

O! odpłaci on teraz za wszystko, odpłaci tej Oldze za jej pogardę, za nienawiść, za to rozłączenie się z nim zimne i stanowcze!

Przyjeżdżając tu miał nadzieję, że się rzecz ta da zakończyć zgodą.

W bajecznej zarozumiałości swojej przypuszczał, że dość mu będzie wspaniałomyślnie ofiarować żonie przebaczenie i zapomnienie brutalnej okropnej sceny, jaka zaszła między nimi, aby ona natychmiast powróciła do niego, upokorzona i pełna wdzięczności.

Gdy ludzie dowiedzą się o ich pojednaniu, raz, drugi zobaczą ich razem, wnet o całem zajściu mówić przestaną. Skandal ten z czasem zatrze się i pójdzie w zapomnienie tak samo, jak w podobny sposób zatarły się setki innych.

Sam niewolnik świata i opinii ludzkiej, nie mógł zrozumieć, żeby kobieta młoda, sama i bezbronna miała dość odwagi, by ten świat i tę opinię wyzwać do walki i bez względu na obmowy ludzkie, stanowczo zerwać nieznośne więzy.

Przerachował się.

Nienawidziła go tak, że wolała raczej wszystko, niż żyć dalej z nim razem.

Tracił ją, a razem z nią jej majątek, te koligacye i stosunki, które tak mu pochlebiały.

Wściekłość ogarniała go.

(Ciąg dalszy nastąpi).

urzędy i t. p. podlegają wyższym władzom w Bernie, a tam w namiestnictwie (Szląsk ma tylko „prezydenta") wodzą rej zażarci Niemcy i pokutuje zakonserwowany wybornie duch starej biurokracyi niemieckiej. W Bernie, w owej żydowsko-niemieckiej stolicy Moraw, rozstrzygają się w znacznej części losy naszych narodowych postulatów na Szląsku. To też popieranie czeskiej polityki na Morawach winno być nieostatnim punktem polityki polskiej, w naszym własnym interesie. Dziwnym zbiegiem okoliczności zawisło odzyskanie Szląska dla polskości do pewnego stopnia od tego, czy Berno będzie odzyskane dla czeskiej idei narodowej. Z naszej strony ignorowano dotychczas zupełnie ten stan rzeczy. Spór niemiecko-czeski na Morawach uważa się za coś drugorzędnego wobec ruchu narodowego w Czechach właściwych, czyli t. zw. „Koronie". Dla nas jednakże raczej sprawy „Korony" mają drugorzędne znaczenie, podczas gdy sprawy morawskie wiążą się z naszymi interesami bezpośrednio. Przybytek jednego czeskiego referenta w namiestnictwie w Bernie więcej wart dla nas, niż niejedna z tych spraw, dla których nie szczędziliśmy pobratymcom trudów i ofiarności w parlamencie.

Jest bowiem rzeczą wiadomą, że namiestnictwo w Bernie wywiera wielki wpływ na prezydenturę w Opawie. Szląscy dygnitarze wychowują się po większej części w berneńskich biurach. Co gorsza, berneńskie namiestnictwo ma wpływ na te władze, które są niezawisłe oficyalnie, lecz z biurokratycznego poczucia chętnie wpływowi ulegają. Tam jeszcze dziś, wśród niemieckiej i zniemczałej młodzieży urzędniczej, duch Schmerlinga na nowo się odradza.

Jak każde gimnazyum, tak też i cieszyńskie, dostarczy narodowi po dłuższem istnieniu jednego i drugiego uczonego, literata, publicystę, artystę, a więc takich, którzy oddziaływać będą następnie nietylko na sam Szląsk, ale na całe społeczeństwo polskie. Cenne przymioty szląskiego ludu, ujęte w krystaliczną formę sztuki, mogą zaważyć bardzo na szali rozwoju idei polskiej, a nie ulega wątpliwości, że wzmogą w niej wydatnie wszelkie dodatnie pierwiastki. Szląsk i tak dopóty nie jest napewno nasz, póki nie wplecie się w koło naszej nauki i sztuki. Z naszej strony nie zrobiono w tym kierunku nic a nic. Ani jeden powieściopisarz nie szukał tu jeszcze tematu, ani jeden malarz z Krakowa nie zbierał tu szkiców, żaden muzyk polski nie próbował nadać szląskiej pieśni artystycznej formy. A jakie tu skarby dla nich wszystkich! Ile motywów przepięknych dla pióra i ołówka! O tem jednak dziś się rozpisywać zapóźno — o kwartał. Na rok następny, gdy zbliżać się będzie wakacyjna pora, niech dziennikarstwo urządzi formalną kampanię za tem, żeby jak najwięcej naszej inteligencyi odwiedziło tę śliczną krainę.

* * *

Jak trudno wykorzenić pewne przesądy, można się przekonać z następującego faktu. Wiemy wszyscy dobrze, że rolnictwo upada i że stan ziemiański znajduje się w coraz gorszem ekonomicznem położeniu. Tymczasem w prasie ciągle brzmi nuta satyryczna na temat ziemiaństwa naszego, a świeżo *Kuryer Warszawski* wystąpił z takim wierszykiem, wyszydzającym ziemiański ład i porządek:

Choć pusta sakiewka,
Wypróżniony trzosik,
Na pierwsze—polewka,
Na drugie—bigosik;
Kapłon na pieczyste
Z cyfrą wyzłacaną...
Boć przecie: *mens sana*
In corpore sano.

Choć pustki w stodole,
Sprzęt zjazdła „niezmiarka",
Lecz za to na stole
Półwiekowa starka;
Węgrzyn palce lizać
I maślacz rarytas,
Boć, zgodnie z przysłowiem:
In vino veritas.

Jeden dziennik w domu
Cała polityka,
Często pokryjomu
Bytność komornika;
Dzieciom brak trzewików,
Bo i to się zdarza,
Ale trzech kuchcików,
Nie licząc kucharza.

Rada miasta Lwowa.

Lwów 5 września.

Na początku wczorajszego posiedzenia wiceprezydent p. Michalski uczcił w gorącem i serdecznem wspomnieniu pamięć Henryka Siemiradzkiego. Rada wysłuchała tego przemówienia stojąc. Na wniosek p. Michalskiego uchwalono w zasadzie jedną z ulic we Lwowie nazwać imieniem Siemiradzkiego; sprawa ta traktowana będzie regulaminowo.

Następnie interpelował p. Sklepiński, czy prezydyum w uznaniu potrzeby otworzenia wyższych klas wydziałowych żeńskich zechce przyśpieszyć załatwienie odnośnych wniosków Rady szkolnej okręgowej i to jeszcze teraz, z początkiem roku szkolnego. Interpelant domaga się, aby przynajmniej otworzyć VIII klasę w szkołach św. Anny i św. Elżbiety. Wiceprezydent p. Michalski odpowiedział, że załatwienie tej sprawy niebawem nastąpi.

Następnie zabrał głos p. Hudec. Omawiał on z socyalistycznego punktu widzenia rozruchy czerwcowe i ich skutki i postawił następujące wnioski: 1) postarać się o zniesienie policyi rządowej, a natomiast zaprowadzić policyę miejską; 2) postarać się o przeniesienie ze Lwowa huzarów; 3) przyjść z pomocą rodzinom zastrzelonych w czasie rozruchów i kalekom. Wnioski te zgodnie z życzeniem p. Hudeca odesłano do regulaminowego traktowania. Ponadto postawił p. Hudec wniosek nagły, aby prezydyum skłoniło pracodawców do dotrzymywania warunków ugody z dnia 4 czerwca br. Nagłość wniosku odrzucono.

Z kolei p. Czarnecki przedłożył prezydyum wniesioną na jego ręce przez mieszkańców Łyczakowa prośbę o utworzenie targowicy na ulicy Słodowej, którą to prośbę odesłano do regulaminowego traktowania. Następnie interpelował prof. Ciesielski, czy w sprawie utworzenia przez wojskowość rejonów fortecznych wniósł Magistrat odpowiednie rekursa. Zdaniem interpelanta, wojskowość działała tu samowolnie. W odpowiedzi na tę interpelacyę zapewnił p. Michalski, że sprawą tą Magistrat się zajmuje i nie spuści jej z oka.

Przystąpiono wreszcie do porządku dziennego. P. Riedl przedstawił propozycye komisyi-matki co do składu poszczególnych komisyi. Po długiej i ożywionej dyskusyi uchwalono sprawę tę odesłać jeszcze do komisyi-matki, aby ona równomiernie obdzieliła pracą wszystkich radnych. W toku dyskusyi bowiem podnoszono zarzuty, że komisya-matka obarczyła niektórych radnych za wielką pracą, którejby nawet podołać nie mogli, innym zaś radnym dała pracy za mało. Komisya przedstawi swoje zmodyfikowane propozycye na następnem posiedzeniu Rady. Następnie udzielono urlopu p. Ciechulskiemu na 3 tygodnie, a p. Wixlowi na 6 tygodni, poczem wiceprezydent p. Michalski zamknął posiedzenie.

Z izby sądowej.

Lwów, 5 września.

(*Fatalny wypadek*).

W uzupełnieniu wczorajszego sprawozdania podajemy najprzód bliższe szczegóły z przesłuchania oskarżonego Gottlieba. Opisywał on najprzód, z jakiemi przykrościami jest połączone stanowisko dyrektora rzeźni miejskiej. Gdy oskarżony, przybywszy z Krakowa, miał objąć to stanowisko, przestrzegali go przed atakami ze strony rzeźników koledzy-weterynarze, np. p. Webersfeld, jego poprzednik, który dla ochrony przed napadami zawsze nosił przy sobie boxer. Także prof. Szpilman mówił mu: Tu bez rozlewu krwi się nie obejdzie, nim się nowe stosunki ułożą. Niechęć rzeźników do weterynarzy wzrosła zwłaszcza w ostatnich latach wskutek nowych przepisów, mianowicie tzw. przymusu weterynaryjnego. Mimo to Gottlieb, ufając w swoje doświadczenie, nabyte podczas 4-letniej praktyki w rzeźni krakowskiej, spodziewał się taktownem postępowaniem, rugując powoli wszystkie zakorzenione u rzeźników zwyczaje, spełnić swój program, mający na celu w pierwszej linii ochronę interesów konsumentów, a potem ochronę interesów gminy jako przedsiębiorstwa. Zatargi z rzeźnikami należały już zresztą do jego zawodu i nie były nowością, jakkolwiek wskutek wspomnianych innowacyi przybrały one teraz ostrzejszą formę i doprowadzały do awantur, np. w Krakowie, w Przemyślu, gdzie jeden weterynarz strzelał do napastników z rewolweru, nawet w mieście tak europejskiem jak Wiener Neustadt wyrabiali rzeźnicy awantury. Jest to bowiem rzeczą naturalną, że interes rzeźnika często nie da się pogodzić z interesem konsumenta, szczególnie jeżeli rzeźnictwo wykonują ludzie niefachowi, tacy np., którzy w lecie trudnią się jakiemś innem rzemiosłem, a w zimie biją wieprze. Takim rzeźnikiem był nieboszczyk Waluszewski, który właściwie zawodowo trudnił się ogrodnictwem.

Mimo taktownego postępowania wszelkie zarządzenia oskarżonego spotykały się ze strony rzeźników zwykle z grubiaństwami, obelgami i pogróżkami, które w oskarżonym tem łacniej mogły wywołać obawę, iż mieszkać musiał wraz z żoną i dziećmi w budynku nowej rzeźni, a więc w dzielnicy 3-ciej, słynącej z napadów nocnych, co jest rzeczą notoryczną.

Oskarżony mieszkał na pierwszem piętrze. Raz w nocy budzi się i słyszy jakiś szelest za oknem, jakby ptak bił skrzydłem o druty telefonu. Wstaje i widzi, że jakaś ręka przed szybą coś manipuluje i dostrzega także twarz ludzką z czarnymi wąsami. Budzi więc żonę, oboje biegną ku oknu, w jednej jednak chwili owa twarz przepada, widocznie napastnik albo się zsunął, albo się pod nim szczebel załamał. Oboje otwierają okno, wychylają się przez nie i widzą, jak trzech ludzi buchnęło w krzaki.

Przew. Na 100 ludzi 99 powiedziałoby, że to złodzieje.

Osk. Ja zaś byłem przekonany, że to napad na moją osobę. Natychmiast służba zaalarmowana przezemnie wybiegła przed dom i znalazła porzucone na ziemi trzy grube koły stolarskie, długi nóż otwarty, piłkę i drabinę, którą skradziono w miejscu oddalonem od rzeźni o kilometr i przypasowano do wysokości mego okna, przy pomocy piłki. Przepiłowanie drabiny pomimo nocy było dokonane tak równo i gładko, iż nie ulegało wątpliwości, iż to musiał zrobić jakiś stolarz. Napad ten odbył się o godzinie 2 w nocy. Od tej pory przez pewien czas regularnie o 2-giej w nocy mimowoli budziłem się, tak dręczące wrażenie pozostało mi w pamięci.

Przew. Ale to stało się jeszcze przed otwarciem rzeźni, kiedy nikt nie mógł mieć złości do pana.

Opowiada dalej oskarżony o brutalnem zachowaniu się rzeźników w rzeźni — kiedy np. przy oględzinach mięsa drwiąco potrząsali swymi nożami, aby tą niemą groźbą wpłynąć na orzeczenie. Nieraz padało z ich ust tylko jedno, na pozór niewinne, ale w lakoniczności swej groźne słówko: „Wtopię!" — to znaczy: wtopię nóż w ciebie! O kilku tego rodzaju faktach zrobił oskarżony doniesienie do sądu, aby salwować godność władzy, którą reprezentował, gdy jednak przychodziło do rozprawy, łagodnemi zeznaniami swemi ocalał rzeźników.

Przew. Odnośne akta sądowe odczytamy. Czy jednak owe pogróżki były w samej rzeczy tego rodzaju, by wywołać w panu obawę o życie? Przecież musiał pan sobie z tego zdawać sprawę, że to ludzie z zawodu przyzwyczajeni do pewnej szorstkości w obejściu, ale że od gróźb do ich wykonania mogło być daleko?

Osk. Właśnie myślałem, że ludzie tak obeznani z rozlewem krwi, są i w stosunkach z ludźmi pochopni do używania noża. Fakta, że jeden rzeźnik drugiemu w kłótni pchnie nóż pod łopatkę, są notoryczne.

Następnie opowiada o tem, iż niejaką Rösnerową, żonę strażnika rzeźni, uchronił w nocy przed napadem, wyciągnąwszy z laski sztylet, na którego widok napastnicy uciekli. Rösnerowa potem powiedzieć miała oskarżonemu: „Modliłam się w drodze do Boga i zesłał mi anioła, który mnie ochronił". — Tu nawiasem trzeba dodać, że akt oskarżenia tę sprawę inaczej przedstawia: że mianowicie oskarżony wmówił w Rösnerową ów napad.

Pod wpływem takich zajść, zaprowadził oskarżony w rzeźni służbę nocną, w domu swoim sprawił kraty w oknach, wieczorem wracał zawsze uzbrojony rewolwerem, tudzież zażądał od policyi wysyłania w nocy policyanta, któryby krążył naokoło rzeźni. Policya dawała z początku tę asystencyę, ale wnet potem ją skasowała.

Dnia krytycznego, tj. 26-go czerwca, wracał obwiniony z magistratu do domu. Był już późny wieczór. Wysiadłszy z tramwaju, myślał, czyby nie wziąć dorożki, żona bowiem nieraz prosiła go, by dla bezpieczeństwa wieczorem wracał raczej dorożką. Ale zaniechał tego zamiaru, raz dlatego, że nie wydawała mu się pora jeszcze tak późna, powtóre, że nie chciał w siebie wmawiać tchórzostwa, wreszcie, że było to przed 1-szym, a w kieszeni miał tylko 2 zł. Idąc ku domowi, usłyszał za sobą kroki dwóch ludzi: po odzieży i kształtach poznał, że to ludzie ze sfery nizkiej. Nie chcąc ich mieć w tyle za sobą, przepuścił ich obok siebie i w tej chwili zauważył, że oni coś do siebie szeptali. Wkrótce jednak, gdy go minęli, zaczęli rozmawiać wesoło. Ten szept wywołał w oskarżonym pierwsze podejrzenie, stał bowiem w sprzeczności z późniejszą ich wesołością, która mogła być udawaną. Przecież ludzie weseli, idący w nocy i może podochoceni, nie krępowaliby się w rozmowie przed jednym przechodniem. Mimo to nie chciał już oskarżony cofać się do miasta, raz, że żal mu było przebytej już drogi, a potem, że nie chciał we własnych oczach uchodzić za zbyt podejrzliwego i powiedział sobie: „Et! może się mylę!" Aby jednak nie szukać guza, przeszedł oskarżony na drugą stronę ulicy, pod lampę latarni, a wyjąwszy rewolwer, wywijał nim w powietrzu, chcąc błyszczącą lufą rewolweru wzbudzić respekt w domniemanych napastnikach, a nadto, aby markować pewność siebie, umyślnie szedł ostrym i silnym krokiem.

Lecz w chwili, gdy oddalił się od latarni, idąc po krawężniku, obydwaj ci ludzie, którzy dotychczas obaj szli razem pod ramię, teraz nagle rozdzielili się: jeden zachodzi mu drogę łukiem z przodu, drugi mniej więcej od tyłu. To utwierdziło oskarżonego w jego podejrzeniach. Co się z nim wówczas działo, tego nie umie jasno określić, i tak się plątą w doborze słów, jakby jeszcze teraz samo wspomnienie owej chwili denerwowało go. Zdawało mu się, że traci formalnie zmysły. To, czem się przez cały rok karmił, te pogróżki wszystkie skrystalizowały się teraz nagle w jego umyśle i wywołały nieprzepartą autosuggestyę...

Przewodniczący wyciąga od oskarżonego to słowo, które on widocznie sam żenuje się wypowiedzieć: że był to strach... że czuł duszę na ramieniu...

Osk. Krzyczę nie raz, ale kilka razy: „czego wy chcecie odemnie?" zresztą nie przypominam sobie com krzyczał, a oni wciąż idą naprzód. Ja krzyczę, a oni idą i idą... Mam ich na 6 kroków przed sobą. Krzyczę: „ja strzelam!" i wodzę rewolwerem od jednego do drugiego... Nie wiem nawet, kiedy rewolwer wypalił.

Przew. Czy oczekiwał pan skutku swoich upomnień? Bo Tymcio powiada, że pan nie wyczekał odpowiedzi Waluszewskiego i wystrzelił.

Osk. Stanowczo twierdzę, że Tymcio zeznał nieprawdę, bo Waluszewski nie mówił ani słowa. Gdyby był choć cośkolwiek odrzekł, nie byłbym doprowadzony do ostateczności, a mnie właśnie to milczenie przeraziło. Ja tę chwilę, gdy wodziłem rewolwerem od jednego do drugiego, uważałem za rodzaj pertraktacyi. Gdybym dłużej zwlekał, mogłem dostać kamieniem lub pchnięcie nożem. Ale nawet, gdy Waluszewski upadł, trwałem dalej w strachu, bo sądziłem, że on tylko tak udaje, a słyszałem, że to się zdarzało i że metodą takich napastników nocnych jest, gdy napadnięty strzeli, kucnąć, a potem rzucić się na niego. Przytomność mi wróciła, gdym widział, że drugi na mnie idzie jeszcze z całym impetem. Przypuszczałem, że drugi zaraz podniesie się. Dopiero, gdy Tymcio powiedział: „Coś pan zrobił", domyśliłem się, że widocznie strzał trafił.

Naturalnie obwiniony nie wiedział, że to był Waluszewski, bo noc była ciemna, latarnia naftowa mdło świeciła, a strzał padł o jakie 10 kroków od niej. Oskarżony ma słaby wzrok i używa szkieł bardzo silnie powiększających, które przewodniczący bierze od oskarżonego i sam ich próbuje. Na ulicy nie widział oskarżony żadnego innego przechodnia, a fakt wydarzył się koło ogrodów, w miejscu, gdzie niema tuż zaraz domu, pod którymby można zawołać o pomoc. Na pytanie dlaczego nie uciekał, wyjaśnia oskarżony, że go wtedy „postawiło", to znaczy, nogi mu zdrętwiały i odmówiły posłuszeństwa, zresztą zaskoczony z dwóch stron, nie mógł nawet myśleć o ucieczce.

W celu zbadania, jakie szanse ma prawdopodobieństwo, iż Waluszewski w istocie chciał atakować lub przynajmniej nastraszyć Gottlieba, wypytuje przewodniczący oskarżonego o jego osobisty stosunek do nieboszczyka. Otóż stosunek ten nie był przyjazny. Raz Waluszewski wyrabiał po pijanemu awantury w kantynie przeznaczonej dla rzeźników do pokrzepienia się, a oskarżony uważając, że miejska kantyna nie jest szynkiem, w którymby się można dopuszczać karczemnych orgii, kazał mu się wynosić i w końcu, chcąc zawezwać policyę, spytał go o nazwisko. Waluszewski krzyknął na to: „Ja się nie nazywam!" Także z powodu wągrowatego mięsa, które pewien kupiec na rozkaz Gottlieba oddał Waluszewskiemu, był ten ostatni z dyrektora rzeźni mocno niezadowolony.

Przew. A świadkowie mówią, że to był człowiek dobroduszny, wesoły, lubił dowcipkować.

Osk. O ile go znałem, Waluszewski lubił podpić sobie i jak to mówią „szukać zaczepki". Być może jednak, że był nieszkodliwym.

Obr. dr. Aszkenaze. Czy w tej ciemności mógł się pan zoryentować co do zamiarów owych ludzi po grze ich twarzy, czy też widział pan tylko ruchy ich sylwetek?

Osk. Widziałem tylko ruchy, nadto zauważyłem, że ten, do którego strzeliłem, był niższy i miał jaśniejsze ubranie. U Tymcia, gdy się zbliżył do mnie, zauważyłem ruch, jakby sięgał ręką w zanadrze.

Obr. Kiedy podejrzenie doszło u pana do stopnia pewności?

Osk. Gdy szli frontem zwróceni ku mnie zamiast się obrócić do mnie tyłem, jakby uczynić powinni, chcąc iść dalej.

Obr. Czy świadom pan był swego strzału?

Przew. O to już sam pytałem.

Obr. Ale mnie idzie o tę różnicę, czy p. Gottlieb strzelił mimowoli np. wskutek drżenia rąk lub zbyt silnego nacisku na kurek, czy w stanie takiego psychicznego podniecenia, że akt woli był również wykluczonym?

Osk. Tego nie pamiętam.

Potem zeznawali świadkowie.

Świadek Miączyński, kasyer rzeźni, potwierdził, że dyrektor z początkiem otwarcia rzeźni często uskarżał się na groźby rzeźników. Gottlieb był w służbie prawie pedantem, ale zresztą wyrozumiałym i ludzkim.

Świadek Srokowski, respicyent akcyzowy, przydzielony do rzeźni, opowiada, iż rzeźnicy odgrażali się w jego obecności, że Gottlieba wrzucą kiedy do ukropu, w którym gotuje się zabite bezrogi. „Wartoby go skąpać!" mówili. Wszystkie bowiem rozporządzeniu wydane z powodu nowej rzeźni, przyjmowali tak, jakby ich autorem był Gottlieb.

Opowiada dalej Srokowski awanturę, którą Gottliebowi wyprawił rzeźnik Gwizdalski, za to, że mu nie pozwolono zabić dwóch zbyt chudych cieląt. Pięćdziesięciu rzeźników z nożami otoczyło wówczas Gottlieba, a Gwizdalski krzyczał: „Dziś mnie śmierć, albo tobie — ty rabuś, złodziej!". Gottlieb pozwolił mu ściągnąć tylko z cieląt skórę, ale bez mięsa, jednak Gwizdalski przecież, zdejmując skórę, okroił sobie duże płaty mięsa. Gottlieb kazał mu odrzucić mięso, ale Gwizdalski rzekł: „Mnie się nie chce", wydarł skórę z pod rąk dozorcy i zabrał ją sobie.

Przewodniczący odczytuje akta tej sprawy, którą potem wentylowano w sądzie. Przedstawia się ona mniej więcej tak, jak ją przedstawił Srokowski, tylko nie ma mowy o 50 rzeźnikach wywijających nożami, a natomiast jest wzmianka, że Gwizdalski z rozpaczy za mięsem, a może z udania, skierował nóż przeciwko samemu sobie, ale go jego synowie wstrzymali. Nadto przewodniczący, p. radzca Giżowski, prowadzący całą rozprawę z wielką bystrością umysłu, porównując urzędowe doniesienia Gottlieba z jego zeznaniami, deponowanemi w sądzie, stwierdza w owych doniesieniach pewną przesadę w opisie faktów, którą Gottlieb potem w sądzie zmodyfikował.— Oskarżony, jak wiadomo, twierdził, że czynił to on dlatego, by nie szkodzić rzeźnikom.

Świadek Poeche, oficyał magistratu, był zarządcą starej rzeźni i doświadczył sam, jak przykre są stosunki z rzeźnikami. Świadek nigdy nie szedł sam do rzeźni, ale zawsze w towarzystwie jakiegoś człowieka, któryby go bronił przed ewentualnymi gwałtami ze strony rzeźników. Z wybudowaniem nowej rzeźni stosunki się pogorszyły, gdyż rzeźnicy, osobliwie ci, którzy drobne zwierzęta: świnie, cielęta itd. bili dawniej gdzie im się żywnie podobało, musieli teraz robić to w rzeźni. Gottlieb mówił świadkowi, że otrzymuje anonimy z przestrogami. Jeden taki anonim — niefrankowany — odczytuje przewodniczący.

Św. Balik, handlarz bydła, opowiada, że „pan Waluszewski gniewał się na pana dyrektora" grożąc: „Rzeźnicy niby takie herkulesy, a nie potrafią mu dogodzić, ale ja mu dogodzę, ja w niego widły wbiję".

Obr. Może on to mówił tak z figlów? Co pan sobie myślał, słysząc to?

Św. Że pan dyrektor kiedyś niedobrze na tem wyjdzie.

Obr. dr. Dwernicki. Co panu przyszło na myśl, jak pan usłyszał o zabiciu człowieka koło rzeźni?

Świadek. Przybiegł do mnie mój służący, Brenner, powiedział zaraz: „Waluszewski przebił dyrektora" i przypomniał mi ów dzień, w którym Waluszewski odgrażał się na Gottlieba.

Świadek Brenner zeznaje to samo.

Po południu świadek X. Kochański, katecheta, zeznaje, że Waluszewski, należący do bractw pobożnych, opowiadał mu raz swoje życie i wspominając o zajściach z Gottliebem, mówił, iż dyrektor groził mu: „Ja pana nauczę".

Świadek Müller, dozorca rzeźni, potwierdza opowiadanie Gottlieba o udaremnionem włamywaniu się trzech opryszków do mieszkania oskarżonego.

Po innych, mniej ważnych zeznaniach, zabrał głos zastępca prawny poszkodowanej, to jest wdowy po Waluszewskim, dr. Schleicher, i oświadczył imieniem swej klientki, że nie przyłącza się do postępowania karnego i nie żąda odszkodowania, gdyż Gottlieb całą szkodę już jej prywatnie wynagrodził.

Przy końcu wczorajszej rozprawy zeznania świadka Żebrackiego wywołały pewien zwrot, bo zakwestyonowały silnie opowiadanie oskarżonego. Co prawda, Żebracki, siedzący w kryminale za to, że ukradł „jednemu" zegarek i ubranie, niezaprzysiężony, nie bardzo zasługuje na wiarę. Był on służącym u ogrodnika Starka, a krytycznej nocy był mimowolnym świadkiem całego zajścia w ulicy Nowej Rzeźni. Idąc tą ulicą, usłyszał najpierw głosy Waluszewskiego i Tymcia, których znał. Koło ogrodu Starka ujrzał jakiegoś człowieka, stojącego, a nie idącego, — był to Gottlieb, którego świadek jednak wtedy nie znał. Kiedy oni przechodzili na drugą stronę ulicy, ów człowiek wystąpił z za parkanu i spytał: „czy wy panowie na mnie?" A szli oni niemal razem, Waluszewski trochę z tyłu, Tymcio naprzód, — nie rozdzielili się. Na pytanie Gottlieba, Waluszewski odwrócił się i powiedział: „my nie na pana" — nim skończył mówić, strzał padł. Potem ów pan przeszedł na drugą stronę ulicy, zagwizdał na świstawce i zaczął uciekać. Świadek twierdził, że widział wszystko dokładnie, bo wtedy księżyc ślicznie świecił.

Obr. dr. Aszkenazy. Proszę o zanotowanie tego.

Wotant radzca Filip. Patrzyłem do kalendarza; było wtedy już po pełni. (Do oskarżonego): Dlaczego pan gwizdał?

Osk. Aby zawołać policyanta.

Radzca Filip. Dlaczego pan nie gwizdał przed strzałem?—Następnie kwestyonuje radzca Filip opowiadanie Gottlieba, że on, strzeliwszy do Waluszewskiego, mniemał, iż napastnik tylko udaje zabitego i zaczął uciekać. Przeciwnie, raczej uciekał, bo zreflektował się, że zabił człowieka. Zresztą dlaczego miał uciekać wtedy, gdy był już tylko jeden napastnik, a nie wtedy, gdy ich było dwóch?

Dr. Aszkenazy zaś kwestyonuje, czy Żebracki ze swego oddalenia mógł ocenić oddalenie, jakie było między Tymciem a Waluszewskim, którzy, zdaniem Gottlieba, rozłączyli się, a nie szli razem.

Dziś rano miano przesłuchać najważniejszego świadka Tymcia, ale nie stawił się on, gdyż jest na manewrach koło Przemyśla. Być może jednak, że przybędzie jeszcze dziś lub jutro, dlatego przewodniczący odroczył rozprawę do czasu, gdy Tymcio się zgłosi.

* * *

Lwów, 5 września.

(*Gwałty podczas strejków rolnych*).

Wczoraj i dziś przesłuchano wszystkich świadków, z których zeznań zestawić sobie można mniej więcej obraz taki, jaki przedstawił akt oskarżenia. Co do gwałtownego spędzania robotników z pól, to pokazuje się, że bitek tam nie było, czasem tylko ten lub ów dostał kułakiem, ale zresztą wystarczyła szorstka groźba. Kilku spędzonych robotników zeznało, że się obawiało pobicia, inni znowu nie bali się, ale na komendę „zabyrajte sia" ustąpili. Widocznie ludzie strejkujący wzbudzali swą pewnością siebie w innych robotnikach pewien respekt, zdawało się ludziom, że jeżeli kto strejkuje, nabiera tem samem jakichś praw nieokreślonych. Łatwowierności tej nadużył oskarżony Mrozek, który głosił, że na pozwolenie ze starostwa spędzać robotników.

Wielu świadków zeznaje teraz łagodniej niż w śledztwie, kiedy wrażenie było jeszcze świeże.

Także awantury przed kancelaryą gminną, kiedy to tłum pchał się pod bagnety żandarmów, prowadzących więźniów, zarysowują się na podstawie zeznań mniej więcej tak samo, jak w akcie oskarżenia, tylko, że trudno przychodzi stwierdzić, który z obwinionych krzyczał to lub owo.

Przy końcu postępowania dowodowego, prokurator rozszerzył jeszcze oskarżenie przeciw Paulinie i Sławickiemu w kierunku gwałtu publicznego, ponieważ gdy zastępca wójta Dobrzański miał dostarczać żandarmom podwód, grozili mu: „Ne dawaj koni, bo tebe zabiju".

Wyrok zapadnie po południu.

KRONIKA.

Lwów 5 września.

Wiadomości urzędowe. Minister oświaty zamianował nauczyciela religii w seminaryum nauczycielskiem żeńskiem i prowizorycznego kierownika seminaryum nauczycielskiego męskiego we Lwowie X. Walentego Wołcza dyrektorem tego zakładu; rzeczywistego nauczyciela szkoły realnej w Tarnowie dra Maksymiliana Schoenetta rzeczywistym nauczycielem szkoły handlowej we Lwowie, a prowizorycznego nauczyciela głównego seminaryum nauczycielskiego w Stanisławowie dra Michała Kociubę rzeczywistym nauczycielem głównym w seminaryum nauczycielskiem we Lwowie. — Minister handlu zatwierdził ponowny wybór Lazara Blocha na prezydenta, a Michała Kulaka na wiceprezydenta Izby handlowej w Brodach na r. 1902.

Szkodliwa plotka. Organ krakowskich socyalistów doniósł w swym ostatnim numerze, że „dyrektor Banku dla handlu i przemysłu p. Leszek Wiśniewski zadłużył się w tym Banku na pół miliona koron", a ponieważ dług ten nie ma pokrycia, przeto jest tu znowu... panama! Krakowski *Głos Narodu* jednocześnie doniósł, że po mieście krąży pogłoska o grubej defraudacyi, popełnionej w pewnym pierwszorzędnym banku krakowskim przez dyrektora.

My postaraliśmy się natychmiast o dokładne wiadomości o tej sprawie, która tak się przedstawia:

P. Leszek Wiśniewski nie jest dyrektorem Banku dla handlu i przemysłu, lecz tylko jednym z członków Rady nadzorczej. Jako taki członek, miał on prawo korzystać z kredytu w Banku i rzeczywiście pożyczył w nim nie pół miliona, lecz tylko trzysta tysięcy koron na hipotekę kilku dwupiętrowych kamienic we Lwowie, zakładów przemysłowych w Tenczynku, udziału swego w Truskawcu i zresztą całego swego majątku. Ta hipoteka kilkakrotnie przewyższa wartość pożyczki.

Z Filharmonii lwowskiej. Próby orkiestralne pod kierownictwem obu kapelmistrzów, pp. Czelańskiego i Jareckiego, rozpoczynają się w poniedziałek. Prawie wszyscy członkowie orkiestry przybyli już do Lwowa, reszta przybędzie w niedzielę z dyr. Czelańskim, który na kilka dni udał się do Pragi. Pierwsze skrzypce objął w orkiestrze Filharmonii znany solista czeski Wacław Huml obok niego zasiada były pierwszy skrzypek „Narodnego Divadla" Wacław Nedela. Jako harfistkę pozyskała dyrekcya pannę Heide-Grünwald, artystkę, która po ukończeniu konserwatoryów w Wiedniu i Paryżu, koncertowała z ogromnem powodzeniem w Brukseli.

Wyścigi słowiańskie odbędą się na torze cyklistów w niedzielę i w poniedziałek 7 i 8 września. W pierwszym dniu będzie 7 biegów, w drugim 6.

Spór o Morskie Oko. Z Zakopanego telegrafują: Wycieczce sądu polubownego towarzyszyła wczoraj śliczna pogoda. W Roztoce przy schronisku Pola pierwszy przystanek. Prócz sądu, udali się do Morskiego Oka posłowie: Kozłowski, Danielak, Bednarski, starosta Rudzki, marszałek Lgocki, komisarz Piątkiewicz, dr. Chramiec i inżynierowie Skoda i Ziękiewicz, delegaci towarzystwa tatrzańskiego: Ponikło, Świerz, Eliasz-Radzikowski, adwokat Bednarski i Czaplicki. Po przekąsce dokonano pieszo oględzin topograficznych z Roztoki doliną „Białej Wody" do miejsca, gdzie wpływa potok Rybi do Białki. Becker studyuje gorliwie i z mapą w ręku czyni zapiski. Stamtąd powrót do schroniska Pola, skąd po śniadaniu dalsza wycieczka do wodospadów Mickiewicza. Szwajcarzy Tatrami zachwyceni. Na moście Mickiewicza przy zaimprowizowanym poczęstunku, Laban wzniósł zdrowie ludu galicyjskiego, narodu polskiego i Galicyi. Podziękował mu dr. Danielak. Imponująco wyglądał przyjazd do Morskiego Oka. Przeszło sto powozów przejechało wczoraj pierwszy raz nową drogą do Morskiego Oka, nad którego brzegami czekały już tłumy, a między nimi oddziały górali z Białki i Zakopanego z chorągwiami biało-czerwonemi. — W schronisku nad Morskiem Okiem zjedzono obiad. Dziś udadzą się członkowie sądu nad Czarny Staw.

Konkurs ogłasza Wydział powiatowy w Nadwórnie na posadę lekarza okręgowego z siedzibą w Delatynie. Podania do końca września br.

List pasterski X. metropolity Szeptyckiego. *Diło* zamieszcza list pasterski X. metropolity Szeptyckiego do ruskiego duchowieństwa wszystkich trzech dyecezyi unickich w Galicyi w sprawie stosunku między Rzymem a Rusinami.

Kongres rybacki w Wiedniu. W połączeniu z międzynarodową wystawą rybacką w Wiedniu (w dniach od 6—21 bm.) odbędzie się zarazem kongres rybacki. Program obrad zawiera między innymi następujące referaty: Obrona spraw rybołówstwa wobec zamierzonej budowy dróg wodnych; o obecnym stanie zarazy u raków; założenie centralnego organu dla wszystkich Towarzystw rybackich w Austryi; ustawodawstwo rybackie; sprawy statystyki gospodarstwa rybnego.

Sprawa o lody. Jedno z tutejszych pism zamieściło następujący list dra Oskara Pilewskiego: „Uważam sobie za obowiązek, jako lekarz, podać do wiadomości ogółu wypadek z zakresu praktyki lekarskiej, przestrzegający naszą publiczność i zmuszający ją do sumiennego kontrolowania nieuczciwych lub lekkomyślnych restauratorów, cukierników i kawiarzy. Onegdaj (31 sierpnia) odbyły się chrzciny u państwa Sch. (mieszkających przy ulicy Zamoyskiego l. 7). W szeregu potraw podano i lody, sporządzone w jednej z tutejszych pierwszorzędnych cukierni. W kilka godzin po ich spożyciu rozchorowali się wszyscy bardzo poważnie, a u 6 osób skonstatowałem ostre zatrucie (intoksykacyę) jakoby arszenikiem lub witryolem miedzi. Pani domu, która na czczy żołądek nieco lodów spożyła, znalazła się w największem niebezpieczeństwie i z trudnością uratowaną została. W tym wypadku jako czynnik trujący należy uważać albo barwik, nadający lodom ową ponętną dla oka barwę, lub siarczan miedzi, wytwarzający się w naczyniach (kotłach) miedzianych, niedostatecznie pobielanych. Byłoby pożądanem, aby organa sanitarne częściej rewidowały instytucye, trudniące się sporządzaniem potraw i wyrobów cukiernianych".

Z powodu tego listu, w którym nie wymie-

niono, jaka to pierwszorzędna firma cukiernicza dostarczyła owych trujących lodów, pisze do nas właściciel znanej we Lwowie cukierni, p. Bieniecki, że dr. Pilewski koniecznie powinien wymienić cukierni, o której wspomina w swym liście, ponieważ zarzut, podniesiony przeciw nieokreślonej firmie, szkodzi wszystkim cukierniom. Zdanie p. Bienieckiego w zupełności podzielamy.

Sprowadzenie zwłok śp. Henryka Siemiradzkiego do Krakowa. Na wczorajszem posiedzeniu uchwaliła jednogłośnie Rada miasta Krakowa sprowadzić do Krakowa zwłoki mistrza i złożyć je w grobie zasłużonych na Skałce. Do wykonania tej uchwały wybrano komitet, złożony z prezydenta miasta, obu wiceprezydentów i radnych pp. prof. dra Cyfrowicza, dra Koya i dra Gunkiewicza. Sprowadzenie zwłok ma nastąpić jeszcze tej jesieni.

Prof. St. Tarnowski o Siemiradzkim zamieszcza w *Przeglądzie Polskim* następujące piękne wspomnienie: „Człowiek był szlachetny, malarz niepospolity. Wiemy, że nowsza krytyka, czy nowsza szkoła malarska robiła mu wiele zarzutów, mówiła, że jego sposób tworzenia i malowania jest przestarzały. Nie mamy pretensyi znać się na sztuce i sądzić; prostym rozsądkiem tylko i doświadczeniami przeszłości dochodzimy do przekonania, że tylko upodobania i mody zmieniają się i przechodzą, — ale nie starzeje się nigdy i nie przechodzi piękność, jaka w dziele sztuki naprawdę jest, w jakimkolwiek rodzaju, charakterze i stosunku. Henryk Siemiradzki miał w swoim talencie przymioty i własności, które się nie zestarzeją i obrazom jego zapewniają wartość na zawsze — tak, jak te obrazy zapewniają jemu na zawsze kartę w historyi malarstwa, malarstwa polskiego przedewszystkiem, i bardzo zaszczytną.

Nic nie zmieni i nie wymaże z historyi sztuki tego faktu, że krytyka najsurowsza, znawstwo najwybredniejsze, nie składając swojej wyostrzonej broni przed „Jawnogrzesznicą" i „Pochodniami Nerona", składały im hołdy, robiły im sławę, a na ich twórcę sypały grad odznaczeń po wszystkich wystawach Europy. Nie kusimy się bynajmniej o charakterystykę tego talentu; spodziewamy się, że zrobi to kto więcej powołany i uprawniony; zdaje się nam jednak, że właściwym rysem znamiennym artystycznej organizacyi Siemiradzkiego było, oprócz wrodzonych mu i w pewnym zakresie niejako wyłącznie własnych uzdolnień technicznych, głębokie przejęcie się cywilizacyą włoską i żywe uczucie poezyi Włoch (przedewszystkiem starożytnych). Musiał on mieć wrodzony zmysł cywilizacyi, instynktową miłość cywilizacyi, i ta wyrobiła w nim estetyczny smak, kierowała jego tworzeniem, wybijała swoją cechę na każdem jego dziele, choć zapewne bez jego wiedzy. Kiedy oba żyli i malowali współcześnie, przychodziło nam nieraz na myśl, że gdyby można połączyć przymioty Matejki i Siemiradzkiego, z nich dwóch zrobić jednego malarza — coby ten malarz zrobił! i ktoby takiemu dorównał!

Pod względem artystycznych usposobień byli od siebie dalecy, jak dwa przeciwne bieguny — ale zbliżali się do siebie uczuciem i szlachetnością. — W przedmiotach obrazów Siemiradzkiego, w kierunku jego wyobraźni, nie było tej wyłącznie polskiej, jaka jest w Matejce; ktoby go chciał sądzić z obrazów, — mógłby myśleć, że on był od tych rzeczy daleki. A on nie był daleki. Ale czyny i ofiary człowieka świadczą inaczej i uzupełniają twórczość artysty. Ten malarz, zakochany w blaskach włoskiego słońca, w połyskach południowego morza, w jońskich liniach, w harmonii, w przepychu starożytnej cywilizacyi, w swojem sercu był polskim, rozmiłowanym w Ojczyźnie i w sławie swego narodu, w blasku i ozdobie, jakich mu dodawać mogła sztuka, w okazałości jego budowli, w świetności jego artystycznych zbiorów.

Znane i podziwiane jest ta królewska hojność, z jaką Matejko rozdawał swoje obrazy; Siemiradzki — bodaj czy nie przed Matejką jeszcze — darował „Pochodnie Nerona", a przez to stał się założycielem tego Narodowego Muzeum w Krakowie, które po jego przykładzie tak się rozwija i stale i pięknie. Jego obraz był kamieniem węgielnym tej instytucyi, a jest i będzie zawsze jednym z jej klejnotów. — Kiedy Kraków stawiał sobie teatr, Siemiradzki chciał, żeby ten teatr był piękny; chciał, żeby jego obraz w nim był, i sam zrobił i ofiarował kurtynę z prostą i przystojną, jakiej równą nie pochwali się chyba żaden teatr na świecie, z jednym wyjątkiem lwowskiego, któremu w parę lat później zrobił taką samą ofiarę i ozdobę.

Kończymy tem, od czegośmy zaczęli: nie opisujemy, nie sądzimy — stwierdzamy tylko ze szczerego serca, że Siemiradzki miał i talent i duszę. Przez talent rozsławił swoje imię, a przez nie imię polskie po świecie — przez duszę zapisał swoje imię na zawsze w pamięci swego narodu. Połączenie zdolności i duszy w jednym człowieku, to pobłogosławiony szczyt człowieczeństwa, stopień, który przez niewiele tylko może być osiągniętym, ale szczęście jego powinien być przez wszystkich. Siemiradzki łączył te dwie cechy, i przez to stanął on w rzędzie tych ludzi, do których z pociechą i otuchą stosować można słowa jednego poety o drugim: „Nie umarła ta matka, co takich synów rodzi!"

Aresztowania chłopów w Królestwie Polskiem. Do *Dziennika Poznańskiego* donoszą z Królestwa, że przed trzema tygodniami policya rosyjska aresztowała w powiecie makowskim w gubernii łomżyńskiej kilkunastu chłopów, ponieważ znaleziono u nich zakazane pisma, a głównie *Polaka*, wychodzącego w Krakowie. Władze prowadzą śledztwo, aby wybadać skąd idzie propaganda pism i jaką drogą dochodzą przesyłki. Naczelnik powiatu makowskiego przyznał, że o rozpowszechnianiu pism polskich nadzwyczaj obawiają się władze rosyjskie i władze pruskie z niedalekiego pogranicza. Władze pruskie otrzymały znowu informacye o przesyłkach pism od agentów pruskich, którzy podobno wybiją się do Galicyi.

Ogień w teatrze. W teatrze „Apollo" wydarzył się wypadek, który w aparacie bioskopu, co mógł się na wiele widzów. Wskutek szybkiej pomocy ogień prędko ugaszono. Przyczyną wypadku było wadliwe urządzenie oświetlenia elektrycznego. Oto jak to się stało: ta sama dynamomaszyna dostarcza światła teatrowi „Apollo" i znajdującemu się w pobliżu teatrowi Wielkiemu, a nie posiada ona regulatora, wskutek czego w chwili zakończenia widowiska w teatrze Wielkim i po gaszeniu tam świateł nastąpiło przeładowanie elektryczności w maszynie i na przewodach było tak wielkie, że cały prąd uderzył na bioskop w teatrze „Apollo". Posypały się iskry, a od nich zajęły się celuloidowe klisze przed bioskopem. Ogień znalazł dużo pokarmu ze względu na klisze i uszkodził też aparat. Skończyło się tylko na częściowem zniszczeniu aparatu i na przestrachu wśród publiczności. Winę wypadku przypisują też elektrotechnikowi, który nie zdołał we właściwym czasie z powierzył maszynę opiece niedoświadczonego pomocnika.

Tajemnicza historya dziecka. Hrabia Isenburg zatrzymał w Isenburgu (w Hessyi) dziecko cygańskie, o którem mniemano, że zostało przez cyganów ukradzione. Dziecko to atoli musiano oddać cyganom, gdyż sąd nie uznał dowodów, uzasadniających skargę o kradzież dziecka. O sprawie tej donosi *Frankfurter Ztg.* co następuje: „Rzekomych rodziców tylko ojciec jest Cyganem, matka zaś jest Czeszką, liczącą lat 44 i od 10 lat zamężną. Twierdzi ona, że nie zna ani swojego imienia, ani nazwiska. Oboje mówią źle po niemiecku, natomiast mówią po czesku i rumuńsku — podczas gdy dziecko mówi płynnie po niemiecku, a zupełnie nie umie po czesku, a nadto zdaje się być wychowane w lepszym domu. Przez pięć tygodni bawiło się i spało z dziećmi hrabiowskiemi, a nigdy nie zauważono u niego wyrazów, używanych przez „uliczników". Cyganie twierdzą, że dziecko liczy lat pięć, a jakkolwiek fizyczny wzrost z temby się zgadzał, rozwój umysłowy wskazuje przynajmniej o dwa lata więcej. Na życzenie hrabiego badał dentysta z Frankfurtu zęby dziecka, aby z istniejących jeszcze zębów mlecznych ocenić można jego wiek. Lekarz-dentysta orzekł, że dziecko liczy co najmniej siedm lat. Gdy dziecko często wspominało o miejscowości Wschowie (Fraustadt), w której jakiś baron uległ wypadkowi z koniem, i gdy mówiło o pracy w fabryce cygar, zagadnięto je z nienacka po polsku. Okazało się, że dziecko rozumie po polsku i że czasami podczas zabawy w ogrodzie po polsku mówiło. Jakiś oficyalista, zatrudniony w sąsiednich dobrach, przypomniał coś sobie niewyraźnie, że przed kilku laty zginęło jakieś dziecię we Wschowie. Natychmiastowe zapytanie telegraficzne hrabiego nie odkryło tajemnicy pochodzenia dziecka. Hrabia Isenburg oświadczył gotowość zatrzymania u siebie dziecięcia. Rzekomi rodzice zażądali jednak bezwstydnie wysokiej sumy „odszkodowania". Zabrali tedy dziecko płaczące i udali się w dalszą włóczęgę. W drodze jednak namyślili się. Z granicy austryackiej zatelegrafowali do hrabiego, że zostawiliby mu dziecko za 1000 marek. Hrabia na propozycyę tę się zgodził i wysłał posłańca z pieniędzmi po dziecko".

Towarzystwo techniczne w Krakowie urządza z okazyi swego 25-letniego jubileuszu wystawę prac członków w gmachu *Collegium novum*.

Wykopalisko pod Pruszkowem. *Gazeta Warszawska* podaje wiadomość o wykopalisku pod Pruszkowem, które jest nowem świadectwem, że okolice Warszawy już w czasach przedhistorycznych były gęsto zaludnione. W tych dniach — czytamy tam — na gruntach, należących do szpitala dla obłąkanych w Tworkach, za budynkami szpitalnemi, przy wydobywaniu wielkich głazów, znajdujących się na polu ornem, natrafiono na odwieczne cmentarzysko pogańskie. Według opowiadań, miał to być grobowiec, obłożony kamieniami, wśród których znajdowały się urny, napełnione kośćmi. Niestety robotnicy, pracujący koło wydobycia głazu, nie przywiązywali do swego odkrycia żadnej wagi i urny owe drobno rozbili. Dowiedziawszy się o tem, już w kilka dni później pośpieszyłem na miejsce, ale udało mi się zebrać zaledwie kilka skorup z urn. Były one, jak się zdaje, czarno malowane i ozdobione bardzo prostym deseniem, z kresek złożonym. Szczątków kości przepalonych jest tam w dole, dotąd nie zasypanym, dość znaczna ilość. Najważniejszą jednak zdobyczą moją na cmentarzysku jest prześliczny młotek kamienny, wybornie zachowany, jakkolwiek w górnej części, przy otworze, w którym była obsadzona rączka, mocno uszkodzony. Młotek jest, jeżeli się nie mylę, z granitu, którego w tej okolicy jest mnóstwo rozrzuconego po polach, jako głazy eratyczne. Wartoby o tem pomyśleć, żeby zwierzchność szpitalna w Tworkach przy wszelkich robotach ziemnych baczną zwracała uwagę na wykopaliska. Cała ta okolica bowiem musiała być cmentarzyskiem, gdyż przed kilkunastu laty, przy budowie szpitala także znajdowano urny. Należy więc, ażeby przy kopaniu zawsze znajdował się ktoś kompetentny, żeby starych zabytków przeszłości nieświadomość nie niszczyła".

Podróżujący dom. Zamek dziedziczny Waszyngtona w Banbury w Anglii odbędzie obecnie podróż do Saint-Louis w Ameryce, gdzie, jak wiadomo, odbędzie się niebawem wystawa powszechna. Budynek ten rozbierają obecnie nadzwyczaj starannie, każdy kamień się numeruje i pakuje na okręt, a w parku wystawowym w Saint-Louis cały zamek będzie napowrót wystawiony. Herb Waszyngtonów, umieszczony nad bramą wchodową tego zamku, służył na wzór do flagi amerykańskiej. Na herbie tym widać pierwszy brzask zorzy, przed którą bledną gwiazdy. Tem się tłumaczy dewiza: *Post tenebras lux* (po ciemnościach światło).

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 13, w poł. + 20 R. Bar. 770. Spada. Pogodnie.

Ożywienie.

— W waszej mieścinie to strasznie musi być cicho?

— O tak, tu mało rozmaitości; chociaż dziś mieliśmy pogrzeb, więc było trochę życia w mieście.

Rady praktycznego ojca.

I. Synu, jeżeli pragniesz w życiu dojść do celu,
Nie myśl nigdy o bracie, ni o przyjacielu,
Czułościom za wygraną daj, bądź samolubem,
A napełnisz pieniędzmi wielki worek z czubem.

II. Nie wierz, że prosta droga do celu prowadzi:
Najczęściej krętą ścieżką chodzić nie zawadzi.

III. Chcesz-li kasztany jadać, ten przysmak niewinny?
Dobrze! lecz niech je z pieca wygrzebie kto inny.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś w piątek po raz 3ci „Wdowa z Malabaru" operetka w 3 aktach Hervé'go. — Jutro w sobotę (wznowienie) „Uriel Akosta" tragedya w 5 aktach K. Gutzkowa. Gościnny występ Romana Żelazowskiego. — W niedzielę po raz 4ty „Wdowa z Malabaru". — W poniedziałek po raz 9ty „Dramat Kaliny" 3 akty prozą Z. Kaweckiego. — We wtorek (wznowienie) „Właściciel kuźnic" sztuka w 5 aktach J. Ohneta. Gościnny występ Romana Żelazowskiego. — We środę po raz 9ty „Weronika" operetka w 3 aktach A. Messagera. — We czwartek po raz 1szy „Kajetan Orug" dramat w 4 akt. Tadeusza Konczyńskiego. Gościnny występ Romana Żelazowskiego. — W piątek po raz 5ty „Wdowa z Malabaru".

Literatura i sztuka.

* **Z teatru.** Wczoraj wystąpił p. Żelazowski w jednej z najlepszych swych ról, w jednoaktówce tragicznej Bracca „Pietro Caruso". Dowiódł on w niej, jak silnie i barwnie umie charakteryzować, jak umiejętnie umie dostrajać różne akcenty mniej lub więcej tragiczne do odrębnego tła tej postaci, tak oryginalnie i jędrnie przez autora nakreślonej. Publiczność hucznymi oklaskami nagrodziła artystę za koncertowe odegranie tej roli.

Mniej już efektowną jest rola kupca Palmierego w „Maskach" Bracca. Nacisk jest tam położony na końcowe ustępy utworu, gdzie autor przedstawia, jak człowiek, z natury wybuchowy, musi tłumić największy ból psychiczny i szaloną chęć zemsty, dla zachowania pewnych pozorów, potrzebnych dla spokoju duszy i zdrowia moralnego jego córki, i tak powstaje jeden z przykładów zwykłej obłudy życiowej, czyli tego, co autor nazywa „maskami". Mimo tego psychologicznego ujęcia roli, składa się ona z dość szablonowych szczegółów. P. Żelazowski bardzo dobrze oddawał krzyżujące się uczucia, jakie pod wpływem coraz to nowych wiadomości powstają w kupcu Palmierim, ale dla wspomnianych braków tej roli tak głębokiego wrażenia, jak rolą Pietra Carusa, nie wywarł.

W roli czeladnika szewskiego Kaspra Szczygła w komedyi „Majster i czeladnik" wystąpił wczoraj młody debiutant p. Hubert Brzozowski, syn sędziwego poety. Jest to rólka nieskomplikowana; trzeba w niej uwydatnić ogromną szczerość i naturalność poczciwego chłopaka o „złotem sercu", a przytem charakteryzować w ruchach i słowach chłopca z ludu. Te dwie strony roli oddał p. Brzozowski zupełnie dobrze i szczęśliwie. Sentymentalizm, którego w tym obrazku ludowym oczywiście jest w bród, zaznaczył debiutant w sposób niezbyt jaskrawy, co mu się chwali. Dykcya p. Brzozowskiego jest bardzo poprawna i wyraźna i wogóle zaprezentował się on bardzo sympatycznie. Wybitnych zdolności aktorskich oczywiście nie miał jeszcze w tej rólce sposobności okazać, ale w każdym razie debiut ten należy nazwać nader udatnym.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 4 września.

(Z). Wobec tego, że ustało już zapotrzebowanie gotówki na ultimo, potaniały znów pieniądze w eskoncie prywatnym. Oficyalnie wynosił prywatny dyskont $2^3/_8$%, kilka wekslі jednak zeskontowano jeszcze taniej, na $2^1/_4$%. Ruch na targu koncentrował się dziś przeważnie w Statsbahnach. Kupowano je znacznemi partyami zarówno na rachunek tutejszych jak i berlińskich spekulantów, a zakupna te podniosły ich kurs o $6^1/_2$ koron. Haussa Statsbahnów oddziałała korzystnie na cały targ walorów kolejowych, do czego przyczyniło się także ogłoszenie ostatniego dziesięciodniowego bilansu kolei północnej, wykazującego bardzo pokaźny wzrost dochodów. Oprócz kolei północnej, otrzymał także zarząd Statsbahnu pozwolenie podwyższenia swych taryf osobowych i zrównania ich z taryfami kolei państwowych. Ze względów jednak konkurencyjnych nie będzie mógł zarząd Statsbahnu na niektórych liniach korzystać w całej pełni z tego pozwolenia, lecz musi dostosować swoją taryfę do tej, jaką mają koleje konkurencyjne. Odnosi się to zwłaszcza do linii Wiedeń-Berno morawskie. Oba te miasta połączone są ze sobą dwiema liniami: jedną Statsbahnu, a drugą kolei północnej. Linia Statsbahnu jest o kilkanaście kilometrów dłuższą, zatem zarząd Statsbahnu miałby prawo pobierać od podróżnych wyższą taryfę, niż kolej północna. Ponieważ jednak w takim razie wszyscy podróżni do Berna jechaliby koleją północną, przeto rad nie rad musi Statsbahn pobierać tylko taką opłatę, jaką pobiera kolej północna, t. j. od 141 kilometrów.

Z Paryża donoszą, że minister finansów Rouvier nosi się podobno z zamiarem skonwertowania trzyprocentowej umarzalnej renty francuskiej. Konwersya ta polegać ma jednak nie na obniżeniu procentu opłacanego od tej renty, ale na przemianie jej na nieumarzalny dług wieczysty. Rentę tę wypuścił w roku 1878 gabinet Leona Saya, a termin jej umorzenia oznaczono na 75 lat, a więc po rok 1953. Coroczna rata amortyzacyjna wynosi 25 milionów franków, o tę zatem sumę ulżonoby budżetowi francuskiemu. Dzisiejszy kurs giełdowy renty nieumarzalnej wynosi 101·55, a umarzalnej $100^5/_8$. Pierwotna cyrkulacya renty nieumarzalnej wynosiła 4,200.000.000 franków, z tego spłaciło dotychczas państwo około 600 milionów.

Jak donoszą z Rzymu przemyśliwa także włoski minister finansów nad konwersyą 4-procentowej renty włoskiej na $3^1/_2$ procentową. Zachęca go do tego dobry stan finansów włoskich, zupełne zniknięcie ażia i wysoki kurs 4-procentowej renty.

Olbrzymi skandal finansowy wykryć miano w Portugalii, w państwowym zarządzie akcyzy. Od lat kilku urzędnicy akcyzowi systematycznie okradali skarb państwa, a suma rozkradzionych pieniędzy wynosić ma kilkanaście milionów franków. Podobno wszyscy funkcyonaryusze zarządu akcyzy od dyrektora począwszy aż do ostatniego strażnika przekupieni byli przez browary i gorzelnie i stali na ich usługach.

Ostatnie notowania:

Akcye austr. Zakł. kredyt. 690·00, węg. Zakł. kredyt. 736·00, Anglobanku 276·50, Unionbanku 540·50, Länderbanku 425·50, Bankvereinu 456·75, Bodencredit 940·00, Gal. Banku hip. 538·00, Statsbahny 727·00, Lombardy 74·50, Kol. Elbethal 472·00, Północnej 5760, Czerniowieckiej 568·00, Alpiny 372·25, Rima Muranyi 501·00, Praskiego Tow. żel. 1502, Fabryki broni 000·00, Tureckie tytoniow. 313·75, Oblig. węg. indemniz. 97·60, Renta majowa 101·80, Austr. renta koronowa 100·15, Węgier. renta koronowa 98·05, 56-letnie Listy Tow. kredyt. ziem. 96·40, 4% Listy Banku krajow. 97·00, $4^1/_2$% Listy Banku krajow. 101·00, 4% Listy Banku hipotecznego 96·50, $4^1/_2$% Listy Banku hip. 100·60, 5% Listy Banku hipotecz. 110·00, 4% Gal. Oblig. propin. 99·25, 4% Gal. poż. kraj. z r. 1893 97·50, 4% Poż. m. Lwowa 95·00, Losy tureckie 119·00, Marki 117·00, Ruble 253.25.

§ **Z dyrekcyi kolei państwowych we Lwowie.** Dostawa urządzeń mechanicznych dla stacyi wodnych na kolei Lwów-Sambor. Wedle zamieszczonego w *Gazecie Lwowskiej* ogłoszenia, rozpisany został konkurs na dostawę i ustawienie mechanicznych urządzeń dla trzech stacyi t. zw. wodnych (to jest przeznaczonych do dostarczania wody dla maszyn pociągowych) na budującej się obecnie linii kolejowej Lwów-Sambor położonych. — Oferty wnieść należy do Dyrekcyi budowy kolei żelaznych w Wiedniu VI Gumpendorferstrasse 10, a to najpóźniej do dnia 20 września 1902 o godz. 12 w południe. Odnośne warunki, jakoteż inne potrzebne dokumenty ofertowe można przeglądnąć względnie nabyć u wspomnianej władzy, albo też w c. k. kierownictwie budowy kolei we Lwowie (ul. Batorego l. 12/14).

XVIII dodatek do taryfy osobowej zachodnich kolei lokalnych. Z dniem otwarcia ruchu na kolei lokalnej Bregenz-Bezan (bregenzkiej kolei leśnej) i Görz-Haidenschaft, jakoteż linii Teltsch-Zlabings kolei lokalnej Wolframs-Teltsch-Zlabings wchodzi w życie dodatek XVIII do wspomnianej taryfy.

Dodatek ten zawiera postanowienia taryfowe, ceny przewozu osób i pakunków i skorowidz odległości w kilometrach dla obu wyż przytoczonych kolei lokalnych, jakoteż zmiany i uzupełnienia taryfy głównej. Egzemplarze dodatku tego nabywać można w kasach ck. dyrekcyi kolei państwowych, jużto wprost, jużto za pośrednictwem stacyj po cenie 20 hal. za sztukę.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU"

(*Depesze poranne*).

Pola 5 września. Arcyksiążę Franciszek Ferdynand zamianowany został admirałem floty. Cesarz i arcyks. Rainer wieczorem wyjechali stąd. Na dworcu zjawili się namiestnik, szef sztabu jeneralnego Beck, komendant marynarki Spaun, naczelnicy władz i jenerałowie. Na mowę Spauna odpowiedział Cesarz, wyrażając zadowolenie i radość z powodu trwania w marynarce tradycyi, pełnej chwały. Cesarz wyraził też komendantowi korpusu Succowatemu i pułkownikowi Buttlarowi specyalne swe zadowolenie. W chwili odejścia pociągu dworskiego obecni wznieśli burzliwe okrzyki „Hurra". Namiestnik odprowadził Cesarza aż do granicy kraju.

W rozkazie do floty Cesarz jak najłaskawiej wyraża się o udziale marynarki wojennej w międzynarodowej akcyi na morzu Śródziemnem i w Chinach, i wyraża zupełne uznanie członkom marynarki, armii i obrony krajowej, którzy brali udział we wspólnych ćwiczeniach.

Budapeszt 5 września. Ministrowie austryaccy z referentami fachowymi wczoraj tu przybyli.

Hongkong 5 września. Bokserzy wydali odezwę, w której pobudzają ludność do wymordowania cudzoziemców.

Paryż 5 września. Minister kolonii, dowiedziawszy się o ponownej katastrofie na Martynice, oddał gubernatorowi wyspy pół miliona franków do dyspozycyi i poczynił różne zarządzenia, aby ułatwić zaopatrzenie w prowianty ofiar katastrofy i obronić ludność w Fort de France przed nagłymi przypływami morza. Wreszcie ustanowił minister kilka stacyi, które mają obserwować wulkan Mont Pelée i w razie, gdyby groził znów wybuch, zarządzić środki ostrożności.

Zagrzeb 5 września. Wczoraj był wszędzie spokój, tylko aresztowano kilka osób za przekroczenia policyjne.

Port Said 5 września. Onegdaj skonstatowano tu wypadek śmierci z powodu cholery.

Londyn 5 września. Roberts, minister wojny Brodrick, jenerałowie Kelly-Kenny, French i Hamilton odjechali do Niemiec na manewra cesarskie.

Londyn 5 września. Dziś po południu odbędzie się konferencya Chamberlaina z jenerałami Boerów w obecności Kitchenera.

Londyn 5 września. Ubiegłej nocy zdarzyła się w kopalni węgla w Abertytag w hrabstwie Wales eksplozya. W kopalni było wówczas 110 ludzi, z tego 16 zginęło, a wielu się poparzyło i pokaleczyło.

(*Depesze popołudniowe*).

Poznań 5 września. Warszawski korespondent *Dziennika Poznańskiego* donosi rzekomo z dobrze poinformowanego źródła, że generał-gubernator Czertkow otrzymał wyraźną instrukcyę, aby podczas pobytu w Poznaniu i na manewrach pod Poznaniem zachował ściśle urzędowe formy i nie przekraczał pod żadnym względem militarnego charakteru, w jakim został wysłany. W instrukcyi polecono mu unikać wszelkiego zetknięcia się z reprezentantami pruskich władz cywilnych i nie pozwalać na żadne dysputy, ani wymianę zdań. Instrukcya była tak ścisłą, że nawet zaleca, aby odpowiedzi Czertkowa na zapytania były jak najbardziej lakoniczne i etykietalne.

Wiedeń 5 września. Cesarz w towarzystwie arcyksięcia Rainera przybył tu dziś rano z Poli i udał się do Schönbrunnu.

Budapeszt 5 września. Dziś o 9-tej przed południem rozpoczęły się w pałacu węgierskiego prezydenta ministrów obrady ugodowe. Biorą w nich udział: Koerber i Szell, Boehm-Bawerk i Lukacs, Giovanelli i Daranyi, Call i Lang, oraz referenci fachowi.

Konstantynopol 5 września. Admirał Palumbo wręczy dziś sułtanowi podarki króla Wiktora Emanuela, mianowicie obraz artysty Maccininego „Atak włoskiej kawaleryi" i modele wszystkich rodzajów broni używanych we włoskiej armii i marynarce.

Zakopane 5 września. Przybyła tu deputacya komitatu spiskiego, złożona ze starszego żupana, wiceżupana i starosty (Stuhlrichter), udała się nad Morskie Oko i przedstawiła się członkom sądu rozjemczego.

HOTEL GEORGEA.

Przyjechali dnia 5 września. Hr. M. Miączyński z Jaśniszcz. A. Liebermann z Drohobycza. D. Pogłodowski z Sudkowic. Z. Balińska z Warszawy. W. Steuermanowa z Sambora. J. Scheiber z Budapesztu. J. Donigiewicz z Zurkowa. W. Postruski z Serednego. T. Niementowski ze Zbaraża.

HOTEL FRANCUSKI.
Lwów — Plac Maryacki.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 5 września. E. Mandyczewski z Suczawy. O. Frankenbusch z Pragi. E. Blumberg z Hamburga. E. Schlesinger z Oświęcima. Z. Jakubowski z Pilawy. F. Mandyczewski i N. Struszkiewiczowa z Przemyśla. J. Czerwińska z Kołomyi. W. Wyganowski z Łodzi. E. Makomaski i M. Dzierzawska z Królestwa Polskiego. W. Korostyńscy z Sokala. L. Schlesinger i E. Rosenblat z Wiednia. T. Link z Chodorowa. P. Piskorski z Nastasowa. N. Madeyscy z Przemyśla. E. Kaufmann z Grassego. L. Müllerowa z Wilna. H. Parnasowa z Tarnopola. N. Tergondowie z Dobromila. N. Schillerowa z Tyśmienicy.

HOTEL EUROPEJSKI
Lwów — Plac Maryacki
ALBERT SZKOWRON.

Przyjechali dnia 5 września. JE. A. Jaworski z Wiednia. A. Zaremba Cielecki z Hadyńkowic. Hr. Fredro z Wybranówki. Hr. T. Stadnicka z Mościsk. S. Dulewski z Tarnopola. Dr. Wender i dr. Schifter z Czerniowiec. M. Jarzymowska z Tejsarowa. B. Sieniuszkiewicz z Gorlic. O. Ulrich z Opawy. M. Jorga z Budapesztu.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30).
Wiedeń 5 września.

Marki 117.05, renta majowa 101.80, węg. renta koronowa 98.10, Akcye: austr. zakł. kredyt. 692.75, węg. zak. kred. 739.50, anglobanku 282.75 unionbanku 543.—, bankvereinu 459.00, länderbanku 428.00, kolei państw. 726·50, lombardy 77.50, akcye kolei Elbethal 474.00, fabryki broni —.—, tytoniowe 000·00, alpiny 375·50, Rima Muranyi 501.00, pragskiego Tow. żel. 1512, losy tureckie 118·50, ruble 253·25. Usposobienie silne.

Wiedeń 5 września. Kursa giełdowe.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kr. z obl. pr. z r. 1880	3%	266.—
" " " " " 1889	3%	263.—
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m.k.	4%	—.—
Uregulow. Dunaju z r. 1870 100 zł.	5%	285.—
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł.	4%	254.—
Pożyczka serbska prem. po 100 fr.	2%	90·50
Tureckie obl. prem. kolej po 400 fr.		118·50

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 19·40, Zakł. kred. dla h. i p. po 100 zł. 427.—, Ofiary 40 zł. m. k. 202.—, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 85.00, Losy m. Krakowa 20 zł. 75.00. Pożyczka m. Lublany 20 zł. 77.—, Ofen 40 zł. 198.00, Palffy 40 zł. m. k. 190.00, Czerw. krzyża austr. 10 zł. 54.70, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 27·50. Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 76.—, Salma 40 zł. m. k. 240.50, Pożyczka salcburska 20 zł. 79.—, Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 264.00. Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 424.—.

Berlin 5 września. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·55. Spirytus 00·00.

Paryż 5 września. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 101·52 Mąka („Fleur de Paris") 27·30.

Frankfurt 5 września. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 217·60. Koleje państwowe 000·00 exclusive kupon. Alpiny 000·00. Disconto 189·25. Laura 202·75.

Wiedeń 5 września. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na jesień 6·95—6·96, na wiosnę 7·25—7·26; żyto na na jesień 6·27—6·28, na wiosnę 6·49—6·50, kukurudza na sierpień-wrzesień 5·64—5·66, na wrzesień-październik 0·00—0·00, na maj-czerwiec 0·00—0·00; owies na jesień 5·77—5·78, na wiosnę 0·00—0·00. Rzepak na sierpień-wrzesień 10·65—10·75. Olej rzepakowy 00—00. Tendencya: słaba. Pogoda: gorąco.

Budapeszt 5 września. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na październik 6·70—6·71, na kwiecień 7·00—7·01; żyto na październik 5·94—5·95, na kwiecień 6·14—6·15; owies na październik 5·45—5·46, kwiecień 5·75—5·76; kukurudza na wrzesień 5·36—5·38, na maj 5·39—5·40. Rzepak: na wrzesień 00·00—00·00. Oferty na pszenicę mierne. Chęć kupna ograniczona. Tendencya: słaba. Pogoda: gorąco.

Lwów 5 września. (Z izby handlowej).
Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —·00 do —·00, Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 565.00 do 575.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 540.00 do 550·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 100·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 000·— do 850.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 840.— do 860.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·70 do 000·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 100·— do 100·70, 4 proc. los. w 60 lat 95.80 do 96·50. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101.20 do 101.90 Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 97·00 do 97·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 96·50 do 97·20, 4 proc. los w 41 i pół latach 96.70 do —.—, 4 proc. los w 56 lat 96·20 do 96.90.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro 99·00 do 99·70. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·50 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102·80 do 103·00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97·00 do 97·70. Pożyczki kraj. z r. 1873 6 proc. —·— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 97.00 do 97.70, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 94·00 do 94·70, $4^1/_2$% po 200 koron 100·50 do 101.20.

Monety. Dukat cesarski 11·22 do 11·34. Napoleondor 19·00 do 19·20. Rubel rosyjski papierowy 252.00 do 253.70. 100 marek niemieckich 116·90 do 117·40.

Ruch pociągów kolejowych
ważny od 1go maja 1902 roku według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31*, 1·35, 8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50.
Z Rzeszowa: 10·25.
Ze Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 9.32*.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35,** 8·00, 5·96 10·20*; na Podzamcze: **2·20,** 7·40, 5·11, 10·02*.
Z Tarnopola: 8.35* (na dw. gł.); 8·14* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12·15*, 1·45,** 6·20, 5·40 i 9·20*.
Ze Stanisławowa: 11·55.
Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie) 6.50, 9.12*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie w niedziele i święta) 8·14, 8·04*.
Z Janowa 7·45, 1·28, 9·25*, 10·08*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa **12·45*, 8·30, 2·55,** 4·15*, 8·40, 6·30*, 11·00*.
Do Rzeszowa: 8·30.
Do Przemyśla: 8·25*.
Do Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 2.00.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55,** 6·30, 9·00* 11·10*; z Podzamcza: **2·09,** 6·48, 9.20*, 11·32*.
Do Tarnopola: 10·40 z dw. głównego i 10·57 z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2·51*, 2·40,** 6·25, 10·30, 10·30*.
Do Stanisławowa: 6·10*.
Do Stryja: 6·35, 9·00, 3·05, 6·35*.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 codziennie) 5.50*, 8.26.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 wł. w niedziele i święta) 2.15, 8.16*.
Do Janowa: 9·15, 1·25, 8·15 6·30*, 10·05*

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

17)

Człowiek niewidzialny.

Romans fantastyczny

H. G. WELLSA.

(Ciąg dalszy).

Spojrzał przez okno; usiadł i patrzał na gościa. Bezgłowy i bezręki szlafrok zasłonił się serwetą; przygotowana zakąska znikała szybko ze stołu. Kemp, który chwilami powątpiewał jeszcze we własną poczytalność, przekonywał się znowu, że to prawda, nie zaś ułuda chorego mózgu.

— Wszystko to bardzo proste i jasne — mówił Griffin, odkładając wreszcie serwetę.

— Dla ciebie zapewne... — wtrącił Kemp.

— I mnie z początku wydawało się to dziwnem... Ale teraz... My dwaj razem dokonamy wielkich rzeczy... Ta myśl błysnęła mi po raz pierwszy w Chesilstowe.

— Chesilstowe?

— Osiadłem tam po wyjeździe z Londynu. Wiesz, żem przeszedł z medycyny na fizykę. Pociągało mnie światło.

— Taak?...

— Optyczna gęstość. To cała sieć zagadek — sieć, w której łatwo się zaplątać i zbłądzić. Ponieważ miałem lat dwadzieścia dwa i dużo zapału, więc rzekłem sobie: „Poświęcę temu życie, bo i warto". Wiesz, jakimi jesteśmy szaleńcami w dwudziestu paru latach...

— Nie wiadomo: czy wtedy, czy potem... — wtrącił Kemp.

— Wszak wiedza nie daje szczęścia. Bądź co bądź, zabrałem się do pracy i pracowałem, jak murzyn. Odkryłem nowe właściwości światła, formułę geometryczną, obejmującą cztery wymiary. Głupcy, ludzie zwyczajni, a nawet i matematycy nie mają pojęcia, co znaczą pewne matematyczne formuły dla badacza fizyki molekularnej. Moje księgi, te, które mi ukradł ów włóczęga, zawierają prawdziwe cuda. Ale nie była to jeszcze metoda, tylko myśl, mogąca doprowadzić do metody, dzięki której dałoby się bez przemian zasadniczych — z wyjątkiem zmian w barwach — zamienić daną substancyę na doskonale przeźroczystą.

— Phi!... To ciekawe, ale ja tego nie rozumiem — rzekł doktor Kemp.

— Zastanów się, że widzialność ciał zależy od oddziaływania ich na światło. Pozwól mi przedstawić sobie zasady elementarne, tak, jak gdybyś ich wcale nie znał. To wyjaśni moją metodę. Wiesz przecie, równie dobrze, jak i ja, że każde ciało pochłania światło, odbija je, albo robi jedno i drugie. Gdyby ani nie pochłaniało ani nie odbijało światła, nie mogłoby być widzialnem. Widzisz nieprzeźroczyste pudełko czerwone, albowiem ta barwa odbija czerwone płomienie, a pochłania inne. Gdyby nie pochłaniała żadnych promieni, lecz wszystkie odbijała, byłaby lśniącem białem pudełkiem, srebrem. Tymczasem kostka szklana, która odbija bardzo mało światła, a bardzo wiele go przepuszcza, jest przeźroczysta, czyli prawie niewidzialna. Gdy zaś włożysz kawałek zwyczajnego szkła do wody, albo lepiej do płynu, przeźroczystego i gęstszego od wody, szkło prawie zniknie, albowiem światło, przechodząc z wody do szkła, odbija się od jego powierzchni w bardzo nieznacznej ilości i staje się tak niewidzialnem, jak kwas węglany, albo wodór w powietrzu.

— Tak, to jest zrozumiałe—odparł Kemp.— Byle sztubak wie już dziś o tem wszystkiem.

— Oto jeszcze jeden fakt, wiadomy byle sztubakowi. Jeśli stłuczemy kawałek szkła i utrzemy go na proszek, przybiera on biały kolor i staje się widzialnym w powietrzu; a to dlatego, że sproszkowanie pomnaża powierzchnie szkła, od których odbijają się promienie światła. Jeśli jednak wsypiemy biały szklany proszek do wody, zniknie on natychmiast; sproszkowane bowiem szkło i woda mają mniej więcej ten sam współczynnik załamania światła. Szkło zatem staje się niewidzialne, jeśli zanurzymy je w płynie, mającym ten sam współczynnik załamania światła. I wogóle przedmiot przeźroczysty staje się niewidzialnym, jeśli znajdzie się w ośrodku, mającym ten sam mniej więcej współczynnik załamania. Gdy się chwilkę zastanowisz, to zrozumiesz, że nawet szkło sproszkowane może zniknąć w powietrzu, jeśli jego współczynnik załamania światła będzie taki sam, jak współczynnik powietrza. Albowiem wtedy światło, przechodząc ze szkła w powietrze, nie będzie się ani załamywać, ani odbijać.

— Istotnie, istotnie — potwierdził Kemp — ale człowiek nie jest szkłem sproszkowanem...

— Nie — odparł Griffin. — Człowiek naprawdę jest przeźroczystszym, aniżeli szkło sproszkowane.

— Bzdurstwa!...

— I to powiada lekarz!... Więc w ciągu lat dziesięciu zapomniałeś już fizykę?... Przypomnij sobie wszystkie ciała, które są przeźroczyste, a nie wydają się takiemi. Papier naprzykład wyrabiany jest z przeźroczystych włókien, a staje się biały i nieprzeźroczysty dla tych samych przyczyn, dla których szkło sproszkowane jest nieprzeźroczyste i białe. Posmaruj biały papier oliwą, a stanie się tak przeźroczystym, jak szkło. I nietylko papier, lecz bawełna, wełna, włókna drzewne i kości, i ciało, i włosy, i paznogcie, i nerwy; cały organizm człowieka, z wyjątkiem czerwonych ciałek krwi i ciemnego barwnika włosów, wszystko składa się z tkanek przeźroczystych. Dzięki temu, bardzo niewiele potrzeba, aby uczynić człowieka niewidzialnym dla ludzkich oczu. Po większej części tkanki istoty żywej nie są mniej przeźroczyste od wody.

— Naturalnie — zawołał Kemp. — Wczoraj jeszcze myślałem o wodnych wymoczkach.

— A więc zrozumiałeś, na czem moja metoda polega. Wszystko to przemyślałem i doszedłem do tych wniosków w rok po wyjeździe z Londynu, to jest przed laty sześciu. Ale zachowałem to dla siebie. Musiałem wykonywać próby w warunkach bardzo niekorzystnych. Mój profesor Hobbema był umysłowym rabusiem, złodziejem pomysłów: wciąż wietrzył, kogoby ograbić. Znasz rabunkowy system, panujący w świecie uczonych. Nie chciałem ogłaszać mojego odkrycia, aby nie dzielić z nim sławy. Pracowałem zawzięcie, byłem coraz bliższy do uczynienia mej formuły — rzeczywistością. Nie mówiłem o tem nikomu, chciałem odrazu olśnić świat moim wynalazkiem i wsławić się, jak nikt dotąd. Przypadkowo zupełnie, przy doświadczeniach z dziedziny fizyki, zrobiłem odkrycie z zakresu fizyologii.

— Doprawdy?

— Wiesz, czerwone ciałka krwi mogą być zamienione na białe, bezbarwne, a pomimo to zachowają swoje właściwości obecne?...

Kemp wydał okrzyk niedowierzania.

Niewidzialny Człowiek wstał i zaczął chodzić po pokoju.

— Że się dziwisz — mówił — to rzecz naturalna. I ja byłem zdumiony. Pamiętam tę noc. Było to bardzo późno... We dnie przeszkadzali mi studenci swoją natrętną ciekawością, więc pracowałem nocami. To odkrycie objawiło mi się nagle i niespodziewanie. Byłem sam; w laboratorym panowała cisza.

— Możnaby uczynić zwierzę, ba i człowieka przeźroczystym i niewidzialnym, gdyby nie włosy. I ja mógłbym się stać niewidzialnym— pomyślałem. — I nagle zrozumiałem, jaką mogę osiągnąć korzyść z tego, iż jestem albinosem...

Ta świadomość oszołomiła mnie poprostu. Zerwałem się, podszedłem do okna.

— Mógłbym się stać niewidzialnym... — powtarzałem sobie. — Dokazać czegoś podobnego, to czarodziejstwo. I w umyśle moim przedstawiły się wszystkie korzyści. Być niewidzialnym — to znaczy mieć nieograniczoną potęgę... Nie dostrzegałem żadnych stron ujemnych. Że mi się w głowie zawróciło, nie dziw. Ja, ubogi profesor, kształcący osłów w prowincyonalnem kolegium, mógłbym odrazu stać się — potentatem... Ciekaw jestem, czy i ty, Kemp, nie byłbyś stracił głowy?... Każdy na mojem miejscu oddałby się tym badaniom duszą i ciałem. Poświęciłem im trzy lata pracy niezmordowanej; zaledwie wzniosłem się mozolnie na jeden szczyt, a już piętrzyła się nowa góra trudności. Trzeba było opanować tysiące szczegółów. Zniechęcałem się nieraz, opadały mi ręce, ale nie na długo. A przytem musiałem wystrzegać się profesora. Ten śledził mnie z wytrwałością szpiega.

— Kiedyż pan ogłosisz swój wynalazek? — pytał mnie codzień.

A ci studenci ze swoją ciekawą głupotą!... Trzy lata podobnych utrapień! A po trzech latach przekonałem się, że urzeczywistnienie teoryi jest niemożliwem... niemożliwem.

— Jakto? Dlaczego? — spytał Kemp.

— Nie miałem pieniędzy... — odparł Człowiek Niewidzialny i zbliżył się znowu do okna.

Nagle odwrócił się.

— Okradłem starego... Okradłem ojca... — szepnął. — Pieniądze nie były jego własne... Zastrzelił się.

Te słowa wypadły z ust niewidzialnych, jak zgrzyt straszny.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Redaktor odpowiedzialny: **Wacław Masłowski.**

Papier z fabryki Czerlańskiej.

Z drukani E. Winiarza